# ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 11 Listopad 1932 r. ROK IX.

WARUNKI PRENUMERATY

## „ECH LEŚNYCH”

| | Zwyczajnej Zł. gr. | Ulgowej (dla czł. Zw. Leśników) Zł. gr. |
|---|---|---|
| Kwartalnie . . . . | 4.— | 3.— |
| Półrocznie . . . . | 7.50 | 5.50 |
| Rocznie . . . . . | 14.— | 10.50 |
| Zagranicą kwartalnie | 6 50 | 5.50 |

Cena numeru pojedyńczego **1 zł. 40 gr.**

**KONTO CZEKOWE**

**P. K. O. Nr. 5.755.**

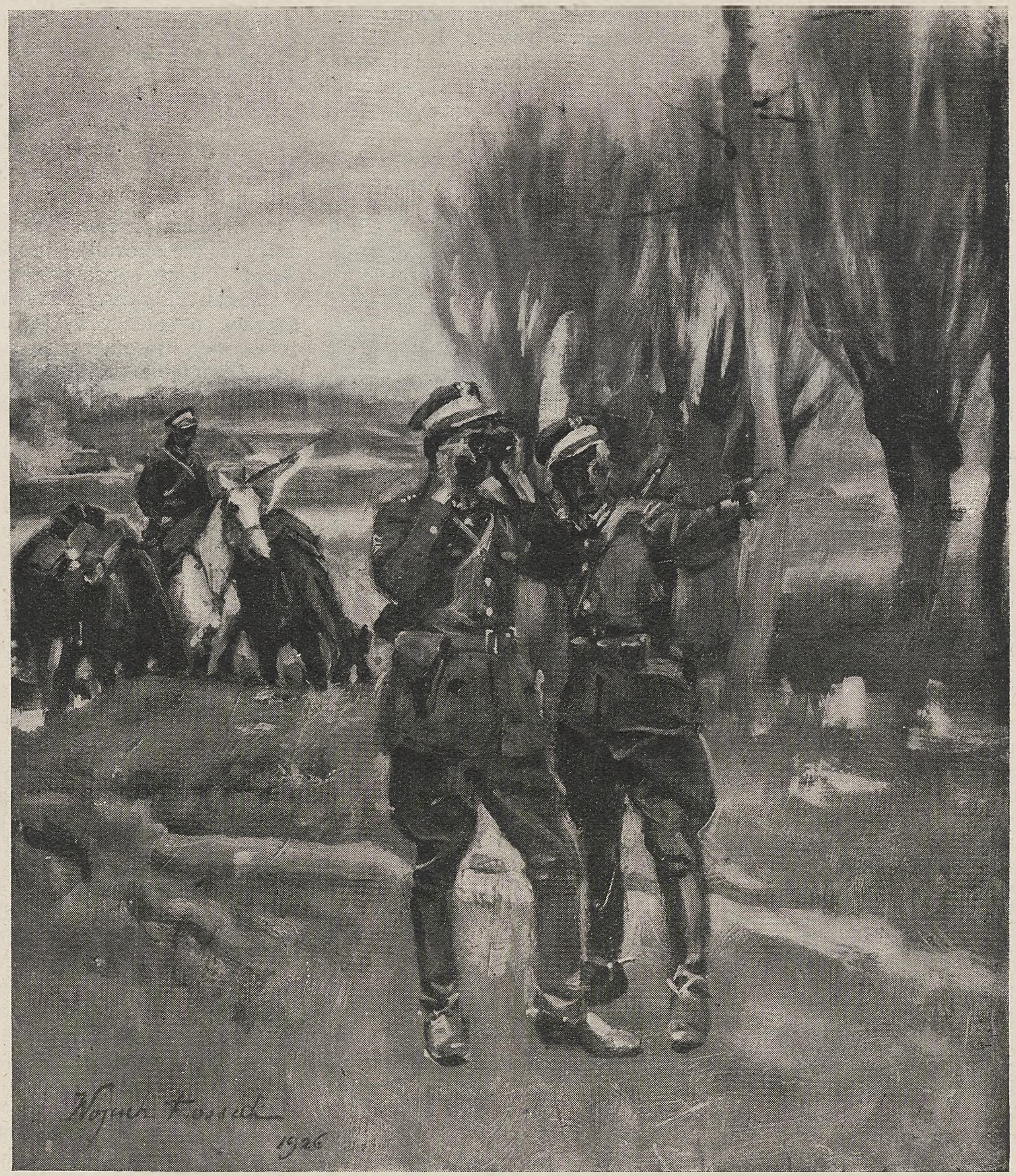
Cena 1 zł. 40 gr.

# ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 36 — 8. TELEFON 230-75

Rok IX | Warszawa, Listopad 1932 r. | Nr. 11




*PODJAZD*

Mal. Wojciech Kossak

# Z LASÓW PAŃSTWOWYCH

## POKONANY PESYMIZM

Jeszcze do niedawna zwalczały się nawzajem dwa zasadniczo rozbieżne poglądy na kwestję przerobu i dostawy lądem, czy wodą, materjałów drzewnych zagranicę wyprodukowanych we własnym zarządzie Państwa. Starano się przekonać ogół, że bezpośrednie angażowanie się rządu w imprezie, która wystawia go na znaczne ryzyko, zwłaszcza w dobie tak powszechnie niewyraźnej konjunktury gospodarczej w kraju i zagranicą, nie jest usprawiedliwione koniecznością powzięcia takiego, a nie innego kierunku gospodarki państwowej. Twierdzono, że aparat rządowy, nawet najlepiej skonstrouwany, nie może być dostatecznie elastycznym, choćby dlatego, że jest związany pewnemi trudnościami natury formalnej, co niewątpliwie osłabia sprawność jego działania. Ponadto, nie może rozwinąć maksimum własnej inicjatywy, bowiem, znajduje się w ramach ścisłych przepisów, a więc w wyścigu z organizacją prywatną na tem samem polu, o ile dojdzie do mety, nie dojdzie pierwszym.

Jakkolwiek obawy takie nie były pozbawione pewnej dozy słuszności, dotychczasowe próby w dostatecznym stopniu przekonywują, że posunięcia organów kierowniczych były fundowane na zdrowych zasadach przewidywania.

Koniecznością państwową było uniezależnienie handlu drewnem od kosztownych pośredników z jednej strony i wydobycia tego handlu wogóle, z rąk drobnych „k a r t e l i", zmonopolizowanych przez mniejszość narodową.

Najlepsi, pod względem płatniczym, nabywcy drewna — miejscami włościanie — już się nasycili niem w latach poprzednich w dostatecznym stopniu, więc zapotrzebowanie z ich strony zmalało bardzo. Tak samo wewnętrzna pojemność rynków, z powodu zastoju w ruchu budowlanym, skurczyła się znacznie i rynki te już od dłuższego czasu nie wykazują żadnego zainteresowania się drewnem. Owszem, kupowałyby je, lecz zabezcen, prawie zadarmo. Tutaj właśnie zazwyczaj występują pośrednicy z ramienia drobnych firm drzewnych, proponując śmiesznie niskie ceny, wiedzą bowiem zgóry, że drewno się nie zmarnuje, grają więc na zwłokę, jako na pewną wygraną zniżki.

Przeżywany kryzys ma nietylko złe strony. W myśl przysłowia: „niema tego złego, coby nie wyszło na dobre", kryzys ten zmusił nas do szukania innych dróg w handlu drewnem, zmusił do „przewartościowania wartości", uznawanych dotychczas za niezbicie niezłomne, odkrył nowe horyzonty możliwości kupieckich, obudził poprostu z uśpienia i bierności ducha przedsiębiorczości. Wkońcu zrozumiano, że niema co się oglądać na kogoś, a trzeba brać się do pracy samemu, licząc tylko na własne siły.

W tej sytuacji narodził się pomysł przerobu drewna we własnym zarządzie. Jakby ten przerób na wstępie kulawo nie szedł, jakieby niskie ceny na sortymenty nie istniały w kraju, czy zagranicą, w ostatecznym wyniku będą one zawsze korzystniejsze, niż cena ofiarowywana ze surowiec loco las.

W tem tkwi zasługa kryzysu, jakkolwiek wygląda to na paradoks, w tem tkwi idea pokonania pesymizmu, w tem tkwi zasługa kierowaniczych sfer M. R. w przełamaniu biernego nieraz stosunku agend wykonawczych.

Niewątpliwie prace w tym kierunku z roku na rok będą się doskonaliły i wkońcu materjały ciosane dla własnych potrzeb i zagranicy nietylko nie będą ustępowały wyrobom prywatnych organizacyj, lecz przeciwnie, będą je przewyższały. *B. Zarzycki.*

## SPOSTRZEŻENIA PRZY ŻYWICOWANIU SYSTEMEM ŻEBERKOWYM

Żywicując przez parę lat systemem żeberkowym, stosowałem parę sposobów żywicowania i doszedłem do przekonania, że sposób pracy, którym żeberka są nacinane od góry tarczy do dołu daje najlepsze wyniki.

Poprzednio stosowałem nacinanie od zbiornika (stałego) do góry tarczy. Nazwijmy ten sposób pierwszym. Następnie stosowałem nacinanie od punktu odległego od zbiornika o 40 ctm. i żeberka prowadzone były do góry i od początku sierpnia w dół. Nazwijmy ten sposób drugim. Oraz ostatni, przy którym żeberka nacinane były od góry tarczy i prowadzone były do dołu tarczy do samego zbiornika. Nazwijmy ten sposób trzecim.

Otrzymane najlepsze wyniki przy trzecim sposobie tłumaczę następująco.

I. Żywica niema utrudnionego spływu do zbiornika, jak w pierwszych dwóch sposobach, z powodu szczerbienia rynny przy nacinaniu żeberk, a także przy jej czyszczeniu, przy którem rynnę się poszerza i pogłębia.

II. Przy drugim sposobie około 8—11 ctm. powierzchni, pozostawionej u dołu, przysycha od pierwszego żeberka i przy późniejszym nacinaniu daję minimalny wpływ żywicy.

III. Przy sposobie pierwszym i drugim w lipcu w czasie największych upałów jesteśmy z nacinaniem żeberek najdalej od zbiornika i żywica, mając długą drogę, ulatnia się, krzepnie w rynnie i mało dochodzi do zbiornika, a przy czyszczeniu rynny, zmieszana z wiorami spada na ziemię.

IV. Przy sposobie trzecim, wiosną, kiedy nacinamy żeberka od góry do dołu, żywica jest płynniejsza i tarcze są nie tak nagrzane. Żywica wtedy spływa wszystka, a prowadząc nacinanie w ten sposób, jesteśmy coraz bliżej zbiornika, gdyż w lipcu około 50 ctm., a w sierpniu około 30 ctm. Przy końcu żywicowania we wrześniu, gdy są chłodne noce i żywica mniej płynna, żeberka znajdują się już przy samym zbiorniku.

V. Żywicując z góry do dołu możemy nacinać żeberka na biało, to jest nie zostawiając między żeberkami żadnej powierzchni i tym sposobem możemy wykonać dużo żeberek. Jeżeli pogoda pozwoli,

to nacinając codzień, starczy nam na 4 i ⅔ miesiąca.

Wypływ przy tym sposobie jest równy, stały i wydajny.

Proszę kolegów leśników, prowadzących żywicowanie o podzielenie się swojemi spostrzeżeniami w tej sprawie.

*Jan Błoński*

## SADZENIE NA SKIBIE

Mamy tu do czynienia ze sposobem sadzenia, przy którym szyja korzeniowa leży na wzniesieniu, a więc wyżej niż poziom zrębu.

Zanim przystąpimy do właściwego tematu, t. j. do omówienia wyżej wymienionego sposobu sadzenia, dobrze będzie zastanowić się pokrótce nad lasem, jako zespołem zbiorowym. Wiemy, że w każdym lesie wyróżnić możemy:

a) drzewostan, który jest najważniejszym czynnikiem zespołu leśnego,

b) podszyt,

c) runo,

d) warstwę bezpośrednio na glebie leżącą (ściółka i próchnica), powstającą z odtrąconych przez wszystkie trzy warstwy martwych szczątków, ożywioną nieprzebranem mnóstwem grzybów, bakterji, które wywołują nieustannie trwające procesy rozkładowe.

Ilość żywych warstw zespołu leśnego, zależna jest od siedliska: im urodzajniejsza gleba i klimat cieplejszy, tem bogatszy jest ich skład gatunkowy. Najuboższy obraz przedstawia lity las sosnowy, na ubogiej piaszczystej glebie. Drzewostan stanowi tu tylko jedna warstwa koron sosny, podszytu przeważnie brak zupełny, gleba naga, pokryta tylko ściółką, skromnem runem chrobotka, wrzosu. I oto, gdy w takich trudnych warunkach leśnik staje przed zadaniem i gdy dąży do otrzymania jakodnowienia ściętego drzewostanu, najlepszych wyników pod względem jakościowym, to zdaniem mojem, najlepiej nadaje się metoda, którą nazywam „sadzenie na skibie".

Przystępując do opisania tej metody, należy zauważyć, że będziemy ją stosować przedewszystkiem na zrębach po suchym borze. Będą to więc siedliska o typie: Pinetum myrtillosum z runem złożonem z borówek; Pinetum cladinosum z chrobotkiem; Pinetum hypnosum z mchami Hypnum i Hylocomium; Pinetum callunosum, z runem wrzosu. Mając tedy wykarczowany zrąb na jednem z wymienionych siedlisk, do zalesienia sosną, każemy go jaknajwcześniej w ciągu lata pługiem Eckerta, lub zwykłym pługiem zorać w ten sposób, aby zachodziła skiba na skibę, w odstępach od 1-go, do 1,3 metra. W nadleśnictwach, w których ma zbyt wrzos, można go przed órką kazać skosić.



*Dwuletnia sosna „na skibie" w Nadleśnictwie Leszno*

Gdy czas upraw wiosennych nadejdzie, dobrze jest przed rozpoczęciem sadzenia, skiby zwałować (wałem), a to w tym celu, ażeby teren sadzenia, którym jest wierzchołek dwuch na siebie zarzuconych skib, uszczelnić. Na tak przygotowanym terenie rozpoczynamy sadzenie w szparę. A więc: w odstępach, dajmy na to co pół metra, wbija jeden robotnik dłuto (kosztur) w oznaczonem miejscu pionowo w ziemię, a odchylając go ku sobie, rozszerza szparę, poczem dłuto wyjmuje. Drugi robotnik wpuszcza korzenie sadzonki w szparę, a pierwszy, wbijając dłuto powtórnie w ziemię w kierunku ukośnym, nachyla je ku sadzonce i zamyka szparę. Dla absolutnego uszczelnienia siedliska, dobrze będzie, jeżeli robotnik jeszcze naokoło sadzonki teren udepcze.



*Dwuletnia uprawa sosnowa na skibach, robionych pługiem Eckerta w odstępach metrowych, — w Nadleśnictwie Wanda*



*Dwuletnia uprawa sosny na skibie w Nadleśnictwie Wanda*



*Grupa personelu Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, żegnająca swego Dyrektora p. Władysława Grzegorzewskiego*

Ten sposób sadzenia stosowany jest od trzech lat w lasach państwowych Nadleśnictw: Wanda i Leszno, Dyrekcji Poznańskiej. Trzyletnie doświadczenia dały dobre wyniki, tak pod względem wegetatywnym, jakoteż i finansowym. Sadzonki na skibie w porównaniu z sadzonkami w bróździe, mają wygląd zdrowszy, nie cierpią na chlorozę, przyrost na wysokość jest większy, co może jest najważniejsze, uprawa kosztuje w porównaniu z sadzeniem w pasy, przeciętnie o 40% taniej, zależnie od warunków miejscowych oczywiście.

Fakt, że opisana metoda sadzenia lepsze stwarza wegetatywne warunki dla sadzonki, daje się wytłomaczyć prawdopodobnie tem:

a) że przy sadzeniu na skibie, nietylko nie traci się nic z próchnicy w miejscu sadzenia, ale się ją podwaja, zarzucając skibę na skibę;

b) że letnia orka ze swej strony glebę usprawnia;

c) że szyja korzeniowa sadzonki, leżąc wyżej niż poziom zrębu, wyprowadza sadzonkę ze zmroziska, a przez to czyni ją odporniejszą na opadzinę (osutkę);

d) że orka, niszcząc chwasty i trawy, ochrania ją w pierwszych czasach bytowania od przygłuszenia, a to, ze swej strony zmniejsza znów koszta pielęgnowania.

Sposób to jeszcze nowy, mało wypróbowany, to też głównym moim celem jest pobudzić szeroki ogół leśników do prób i do wypowiedzenia się w tej sprawie na łamach „Ech Leśnych".

*Adolf Zwolanowski.*



*Dyrektor Władysław Grzegorzewski*

## Z DYREKCJI LASÓW PAŃSTW. W POZNANIU

W dniu 30 września żegnała Poznańska Dyrekcja Lasów Państwowych swego długoletniego Dyrektora, Pana Władysława Grzegorzewskiego. Uroczystość odbyła się w sali konferencyjnej Dyrekcji. Udział w niej brali zarówno Urzędnicy Dyrekcji, jak i liczni leśnicy z terenu. Mowę pożegnalną wygłosił Pan Wicedyrektor Seegin. W treściwych i serdecznych słowach, zobrazował mówca pięcioletni przebieg pracy Pana Dyrektora Grzegorzewskiego na ziemi Wielkopolskiej, podkreślając dodatni i owocny jej przebieg, w dziedzinie ściśle fachowej i społecznej. Pan Dyrektor Grzegorzewski bowem, jako demokrata dawnego autoramentu, potrafił zcementować podwładny personel, i zagrzał go do pracy państwowo-twórczej. Pan Dyrektor Grzegorzewski w przemówieniu swem, wzruszony do głębi, podziękował zebranym za serdeczne słowa uznania dla swej pracy i zaznaczył, że jeżeli jego praca była owocną, to zawdzięczać to należy w dużej mierze temu zespołowi pracowników, któremu miał zaszczyt przewodniczyć, i któremu, odchodząc, składa za to serdeczne podziękowanie. Uroczysty i podniosły moment pożegnania zakończył się wręczeniem Panu Dyrektorowi Grzegorzewskiemu upominku w postaci obrazu pendzla Wasilewskiego „Polowanie".

A. Z.

## SPROSTOWANIE.

W N-rze 9-ym „Ech Leśnych", w artykule p. A. Kucharskiego p. t. „Sprawa Choinek" wkradł się błąd drukarski — mianowicie w odnośniku, oznaczonym gwiazdką, w 4-ym wierszu od góry — zamiast słowa „kwaśnej" winno być „Hwoźnej".

# ATAK NA DOTYCHCZASOWE METODY SADOWNICZE

**Książka, która druzgoce i pociesza.**

Nie wiemy, gdzie zło leży, dość, że każdy laik stwierdzić może ten fakt, iż owocarstwo nasze przedstawia się posępnie.

Owoc jest ciągle pożywieniem ludzi bogatych, a nawet najbogatszych, gdyż i średnia sfera nie może sobie pozwolić na luksus spożywania dorodnej, polskiej gruszki czy wysokogatunkowego jabłka, conajmniej zadowolić się musi tańszym, czyli bardzo nikczemnym towarem, który w innych krajach nigdy nie ukazuje się na rynku.

A przecież sadownictwo polskie mogło być poważnem źródłem gospodarstwa i przynosząc duże dochody wpłynęłoby niezawodnie na podniesienie zdrowotności narodu.

Spory, trwające między teoretykami ogrodnictwa w Polsce, owe namiętne dyskusje, które często zjawiają się na łamach prasy fachowej, dowodzą niezbicie, iż sadownictwo polskie, pozostające dotąd w żałosnem zaniedbaniu, przeżywa swój „Sturm und Drang", z którego wyłoni się niewątpliwie nowa, lepsza era.

Takim atakiem na cały front dotychczasowych metod sadowniczych jest książka p. Bronisława Gałczyńskiego, p. t. „Sadownictwo dochodowe".

Książka bardzo znamienna, tem zaś cenniejsza, iż przepojona dużą erudycją i znajomością najnowszych badań eksperymentalnych zagranicą i wypowiadająca bezwzględną walkę tak zwanym „praktykom", którzy w gruncie rzeczy doprowadzili sadownictwo polskie do obecnego stanu rzeczy, który na gwałt woła o zupełną zmianę dotychczasowych metod.

A źródłem tych złych, dzisiejszych metod jest, zdaniem p. Bronisława Gałczyńskiego niewolnicze naśladowanie wzorów niemieckich i brak samoistnych badań, związanych z polskiemi warunkami klimatu i gleby.

Poprostu inercja i brak samoistności. Każdy, kto zakładał sad i pragnął poczynania swe oprzeć na polskich doświadczeniach naukowych, wie dobrze z własnego doświadczenia, iż zawiódł się haniebnie, jeśli dał posłuch dotychczasowym prawom, głoszonym przez teoretyków i praktyków. Katastrofalna zima 1928/29 roku obaliła większość nienaruszalnych dotychczas tez ogrodniczych, a piszący te słowa sam, na własnej skórze doświadczył, iż najbardziej polecane przez najświetniejszych polskich teoretyków i praktyków odmiany drzew owocowych okazały się niewytrzymałe, złe i nieprzystosowane do klimatycznych warunków.

P. Bronisław Gałczyński jest zwolennikiem amerykańskich systemów ogrodniczych.

Czas pokaże, czy słuszne, w każdym zaś razie dowodzenia autora „Sadownictwa dochodowego" opierają się na rozległych studjach porównawczych i logicznym biegiem faktów, lepsze są od dotychczasowej przypadkowości, która wymroziła i zniszczyła polskie sady.

A jeśli zima 1928/29 roku była tym zwrotnym punktem w dotychczasowych metodach, a polska nauka ogrodnicza przeszła nad tym faktem do porządku dziennego, określając ten wypadek „jako siłę wyższą, proprostu żywiołową katastrofę", to my, hodowcy sadów z niepokojem musieliśmy spojrzeć w przyszłość i zapytać się, czy należy znów zdać się pokornie na wolę boską i wiedzę profesorską, czy też oprzeć się na innej prawdzie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże".

Bo też i nieprawdą jest, by zima 1928/29 roku była czemś w Polsce wyjątkowem, natomiast absolutną jest prawdą, że oficjalna polska nauka ogrodnicza nie wyciągnęła stąd żadnych wniosków, a podręczniki szkół ogrodniczych, wytwarzających „dyplomowanych ogrodników" po dawnemu uczą, w jaki sposób najłatwiej niedochować się dobrze rodzącego sadu.

Książka zaś p. Br. Gałczyńskiego pociesza nas amatorów, hodowców, entuzjastów ogrodnictwa i — niech będzie — „dyletanów", którzy pragnęliby zaufać autorytetom, choćby tylko dla tej samej pięknej nadziei, iż wyhodowane przez nich drzewo ozłoci się hesperyjskim owocem.

A zatem nie wszystko stracone.

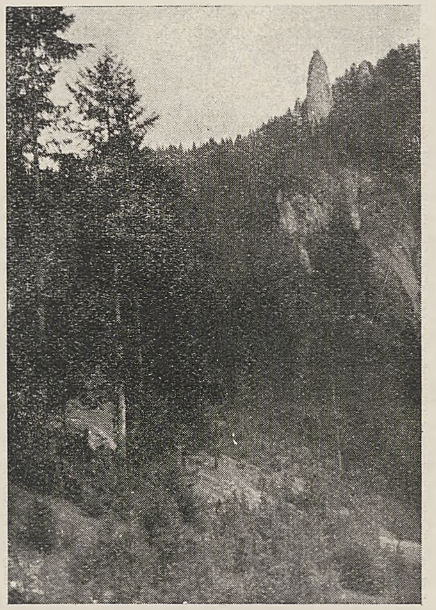
Sadownictwo polskie ma nowe widoki rozwoju, ale oprzeć się musi na innych przesłankach i na najnowszych zdobyczach, musi nastąpić rejonizacja drzew owocowych, absolutne ustalenie gatunków dla każdego rejonu gleby i klimatu, typ sadów owocowych musi się zmienić zasadniczo, sposób uprawy dozna pewnych drobnych przekształceń, a nie spotka nas nowa klęska.

Nie sposób streszczać metod p. Bronisława Gałczyńskiego, zaznajomi nas gruntownie z niemi jego książka p. t. „Sadownictwo dochodowe", nad którą niepodobna przejść do porządku dziennego nietylko ze względu na jej polemiczny charakter, ale także z powodu gruntowności badań nowych, nieznanych polskim amatorom sadownictwa, zagadnień i metod.

*Dr. W. B.*



*Nadleśnictwo Mochy. Fragment wyróbki materjałów drzewnych we własnym zarządzie adm. lasów państw. Na zdjęciu: pp. dyr. Grzegorzewski, nadleśniczy Puhawko i radca minist. inż. Panek*



*Piękny zakątek w Parku Narodowym w Pieninach*

*LEŚNIKA, SZANUJĄCEGO WŁASNĄ PRASĘ — USZANUJE SPOŁECZEŃSTWO!*

*ZASZCZYTNE MIANO LEŚNIKA ZOBOWIĄZUJE DO GODNEJ REPREZENTACJI NAZEWNĄTRZ!*

*LEŚNIK, OSZCZĘDZAJĄCY NA PRASIE LEŚNEJ, — DZIAŁA NA SZKODĘ WŁASNĄ I KRZYWDZI SWÓJ ZAWÓD!*




# NA FRONCIE PROPAGANDY LASU I LEŚNICTWA

Redakcja Ech Leśnych zamierza zorganizować na wiosnę roku przyszłego „Wszechpolskie święto sadzenia lasu", z udziałem najszerszych warstw społeczeństwa. Do opracowania planu święta zaproszeni będą wybitni leśnicy polscy, znani ze swej działalności na polu propagandy lasu i leśnictwa. O pomoc w organizacji i zrealizowaniu planu „Święta", będą proszone naczelne władze leśne, komunalne, oświatowe, wojskowe i kolejowe.

Wszystkich leśników prosimy o nadsyłanie już obecnie pod adresem Redakcji swych cennych projektów i uwag, któreby się dało z pożytkiem uwzględnić przy opracowaniu planu ogólnego.

## AKCJA PROPAGANDOWA ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO Z. Z. L.

Oddział warszawskiego Z. Z. L. rozwija ostatnio niezwykle ożywioną propagandę lasu i leśnictwa. Między innemi wydał on i rozpowszechnił za pośrednictwem kół następującą odezwę:

„W ostatnich czasach niemal wszystkie kraje nietylko Europy, ale i prawie całego świata, rozwijają energiczną akcję, celem propagowania idei ochrony przyrody.

Robi się bardzo wiele, w kierunku jaknajwiększego uświadomienia społeczeństwa w dziedzinie kulturalnego odnoszenia się do tworów przyrody i umiejętnego korzystania z jej darów. Co się tyczy naszych stosunków, to nie można powiedzieć, abyśmy się znajdowali w pierwszych, lub nawet środkowych szeregach wyżej wymienionej akcji. Jesteśmy na końcu, na bardzo szarym końcu.

Nasze społeczeństwo pod tym względem jest niedokształcone i nieuświadomione; na każdym kroku spotyka się objawy kompletnego niezrozumienia istoty rzeczy i zdezorjentowania nawet i w kulturalniejszych warstwach społeczeństwa. A już najgorzej sprawa się przedstawia z ustosunkowaniem do lasu i leśnictwa.

Te to przesłanki skłoniły leśnika do zwrócenia się do społeczeństwa i obznajmienia go narazie z najelementarniejszemi sprawami, związanemi z lasem za pomocą jednodniówki „Las", wydanej nakładem spółki wydawniczej „Prasa Drzewna".

Leśnik Polski pragnąłby, aby jego słowa rozeszły się jaknajszerzej między społeczeństwem, które powinno zechcieć bliżej zapoznać się z tą wielką rolą, jaką odgrywa las w życiu człowieka i z zadaniami jakie ma przed sobą leśnik, jako strażnik, pilnujący skarbów przyrody przed nadmierną chciwością ludzką.

Jednodniówka „Las" śmiało może być nazwana tą pierwszą nicią silnego w przyszłości porozumienia i łączności, jaka musi nastąpić między społeczeństwem, a leśnikiem. Znajdzie w niej czytelnik zwięźle i przystępnie opracowane przez wybitnych fachowców i znanych leśników, wszystkie tematy, związane z lasem i gospodarstwem leśnem.

Szczególną wartość posiada to wydawnictwo dla nauczycielstwa. Któż jeśli nie nauczyciel dopomoże leśnikowi w akcji propagandowej, tylko on w najbardziej zapadłych zakątkach Rzeczypospolitej kładzie wiedzę w młodociane umysły.

A gdy ma dzieciom coś o lesie powiedzieć, to wpada wtedy w nielada kłopot, gdyż brak u nas podręcznika szkolnego, w którym temat ten prawidłowo i w sposób przystępny byłby opracowany. Aby się zorjentować należycie, musiałby się zwrócić do prasy fachowej, a tego uczynić nie sposób.

Jednodniówka może właśnie być tym niezastąpionym podręcznikiem, z którego będzie czerpał tematy do wykładu.

Nie wątpimy, iż niska cena zł. 1.50 za 1 sztukę, estetyczne wydanie i wartościowa treść przyczynią się do rozejścia jednodniówki w wielu egzemplarzach.

Nabywać można w lokalu Zw. Zaw. Leśn. Rz. P., Warszawa, ul. Nowy Świat nr. 36.

Należy podnieść z uznaniem, iż dla rozsprzedaży wśród społeczeństwa i leśników, oraz w celu bezpłatnego rozesłania szkołom publicznym, Oddział Warszawski zakupił w „Prasie Drzewnej' 615 egzemplarzy jednodniówki „Las". Jest to najwymowniejszy dowód aktywnej działalności propagandowej Zarządu Oddziału.

## JEDNODNIÓWKA „LAS"

Wskutek braku miejsca, dalszy ciąg wykazu osób i instytucyj, które nabyły jednodniówkę „Las" będzie podany w numerze grudniowym.

## DZIEJE LEŚNIKA POLSKIEGO

P. Major L. Koczur-Rutkowski, szef Biura personalnego Nacz. Dyrekcji Las. Państw. w Warszawie, podjął ze wszech miar godną poparcia inicjatywę opracowania i wydania pamiątkowego dzieła, które miałoby zawierać historję leśnika polskiego od czasów najdawniejszych po przez lata książąt i królów, lata wojen, powstań i zmagań o niepodległość, w których leśnik polski zaznaczył swój udział niejedną chlubną kartą dziejową.

W dziele tem byłyby również uwzględnione wysiłki i dorobek polskiej nauki leśnej, wzbogacającej w znacznej mierze skarbnicę wiedzy leśnictwa światowego.

W ten sposób powstałaby księga wskrzeszonej tradycji naszego stanu leśnego, którą warto i należy przekazać ku trwałej pamięci i pokrzepieniu potomnych.

Księga ta opowiedziałaby zarazem społeczeństwu naszemu, czem był ongiś, czem jest dzisiaj i czem będzie w przyszłości leśnik polski w rozwoju dziejów ojczystych, w kształtowaniu rodzimej kultury i życiu całego państwa.

W związku z tą inicjatywą, Redakcja Ech Leśnych zwraca się z prośbą do wszystkich leśników polskich, posiadających dokumenty historyczne, notatki, książki i wogóle wszelkie materjały, nadające się do uwzględnienia w księdze dziejów leśnika polskiego, aby zechcieli je wypożyczyć i w oryginałach lub odpisach przesłać pod adresem Redakcji. Nazwiska osób, które przyczynią się w tej drodze do powstania dzieła, będą w księdze uwzględnione w osobnym wykazie źródeł.

## PRZEKONAJMY POLSKIE RADJO O NASZYCH PRAWACH

Ankieta nasza, ogłoszona w numerze 10-ym E. L. obudziła niezwykle żywy oddźwięk w najszerszych kołach leśników, powodując szereg uwag, podziękowań i życzeń. Do chwili obecnej mamy wszakże zaledwie kilkaset odpowiedzi, podczas gdy musimy otrzymać parę tysięcy. Bierzemy to na karb małej ilości rozesłanych druków, które jednak należy przekopjować na maszynie lub odręcznie i w ten sposób wypełnić swój obowiązek. Leśnicy! Nie zaprzepaszczajmy rozpoczętej akcji w połowie, nadeślijmy wszyscy odpowiedź na ankietę. Karta pocztowa winna być zaopatrzona w znaczek 20 groszowy, gdyż, jak się okazało, poczta nie uważa tych pocztówek za druki.

## KRZYŻ ZASŁUGI ZA PROPAGANDĘ LASU I LEŚNICTWA

Z okazji 14-ej rocznicy niepodległości państwa, został odznaczony złotym krzyżem zasługi znany i powszechnie ceniony działacz na polu szerzenia oświaty i propagandy leśnej, prof. Jan Kloska, radca Wydziału Leśnego Ministerstwa Roln. i Reform Rolnych. Zaszczytnego tego i dobrze zasłużonego odznaczenia serdecznie Mu gratulujemy!

# PARKI NARODOWE I REZERWATY W POLSCE



*„Jeśliby kto, wszedłszy w las, drzewa, które znajdują się być wielkiej ceny, jako jest cis, albo im podobne podrąbał, tedy może być przez Pana, abo dziedzica pojman, a na rękojemstwo tym, którzy oń prosić będą, ma być dan. Tymże obyczajem o gajach, gdzie mało lasów ma być zachowano".*

*Prawo króla Władysława Jagiełły, dane w Krakowie i w Warcie R. P. 1423.*

Głęboka, prawdziwie królewska mądrość i dostojeństwo płynie ku nam z tych słów naszego wielkiego króla.

Przez te wyroki i prawa, odpowiadające wysokiemu stanowi kulturalnemu naszej dawnej Rzeczypospolitej, król Władysław Jagiełło dał niezniszczalne świadectwo prawdzie, że ochrona przyrody w starej Polsce była jedną z pierwszych na świecie.

Prawa Jagiełły i jego następców przyczyniły się też niewątpliwie do ocalenia w Polsce najpiękniejszych zabytków przyrody przed zniszczeniem. I dzisiaj, po upłynięciu kilku wieków, widzimy z radością, że jedynie środek naszej Ojczyzny jest płaski i monotonny. Zawiniło tu niszczycielskie tępienie lasów w czasach okupacji rosyjskiej Kongresówki, kiedy o lasy te, najcenniejszą ozdobę krajobrazu, najeźdźca się nie troszczył.

Na szerokich kresach Rzeczypospolitej piękno przyrody rozwija się w pełnym przepychu. Srebrne fale Bałtyku szumią u malowniczych wybrzeży, zwarte ściany lasów otaczają zielonym pierścieniem lśniące tafle jezior pomorskich, w Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie, w Białostockiem, szumią po dziś dzień rozległe resztki puszcz dookoła malowniczych brzegów majestatycznego Niemna, wdzięcznej Wilji i leniwych dopływów Bugu. Na szerokich płaszczyznach Polesia rozlewają się nieprzejrzane wody i błota z lasami nizinnemi, torfowiskami i ostrowami dębin, tworząc krajobraz jedyny tego rodzaju w Europie. Głęboko wcięte, niespodziewanie w równinie rozpęknięte jary Dniestru i jego dopływów formują oryginalny krajobraz Podola. Od spływu Wisły i Sanu na północny zachód, w sercu Polski, rozciągają się góry Świętokrzyskie, najstarsze góry nasze, pokryte borami. Nawet u brzegu jednostajnego, zadymionego zagłębia węglowego wykwitł dar piękna przyrody: lekko sfalowany, ozdobiony białemi turniami dolinek Ojcowa, Mnikowa i Panieńskich Skał, krajobraz Krakowskiego.

A na południowych kresach, wzdłuż potężnego łuku Karpat, rozpiętego na 900 kilometrowej przestrzeni od Cieszyna, aż po granicę Rumunji, rozrzucone zostały najwspanialsze nasze krajobrazy szerokich, przysadzistych, borami szumiących Beskidów Śląskich, Żywieckich, Gorców i Sądeczyzny, ogromnych, kopulastych, dzikich i pierwotnych Bieszczadów, Gorganów i Czarnohory. Górski krajobraz osiągnął swe najwyższe natężenie na Podhalu, gdzie, na podstawie z potężnej Babiej Góry i masywnego Turbacza rozwinął się wśród łagodnych wzgórz podhalańskich śmiały kształt Pienin i przepych najwyższych gór Polski — Tatr.

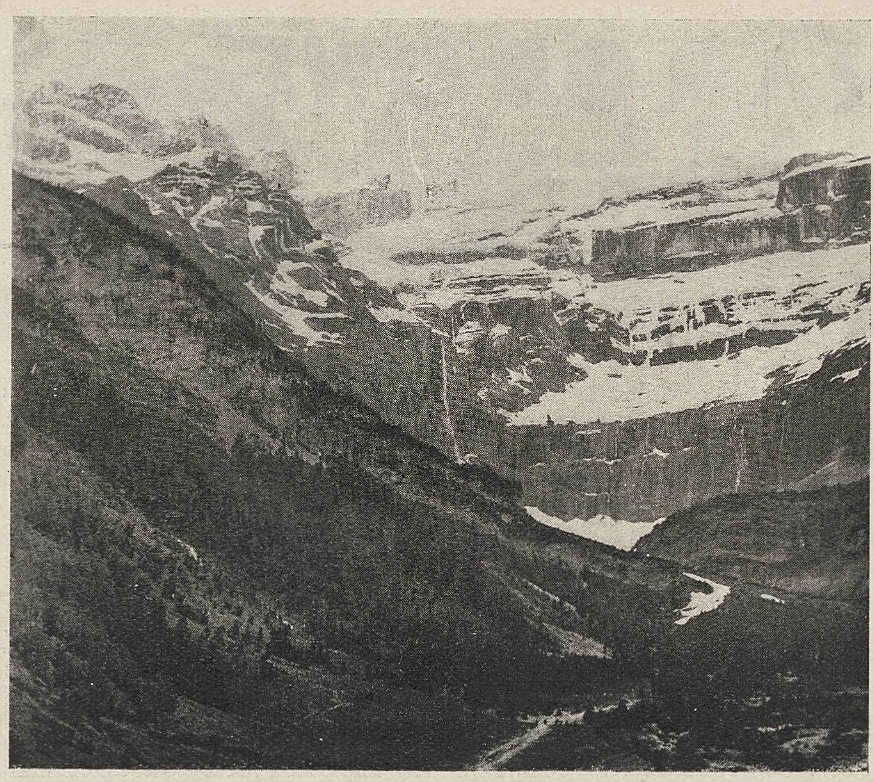
Piękne są te ziemie. Każdy Polak z radością niech myśli o nich; każdy zaś, kto nie widział wszystkich tych skarbów naszej Ojczyzny, niech je zwiedza, a przekona się, że nie ustępują one pod żadnym względem najbardziej okrzyczanym osobliwościom zagranicznym.

Na to jednak, aby cuda naszej przyrody dalej istniały i mogły nadal cieszyć nas i nasze dzieci, musimy pamiętać, że bezcenną ich wartością jest ich piękno i piękna tego musimy bronić przed spustoszeniem. Nie możemy dopuścić do tego, aby największe skarby przyrodnicze Polski zostały zniszczone przez napór cywilizacji tak, jak to stało się w innych krajach europejskich np. w Niemczech, gdzie obecnie z największym wysiłkiem i ogromnym nakładem pieniędzy tworzy się tereny ochrony przyrody.

Na szczęście świadomość konieczności ochrony naszych osobliwości krajobrazu przeniknęła głęboko nasze sfery kulturalne, a dzisiaj, dzięki wytężonej propagandzie, cały naród Polski. Od szeregu lat wre u nas praca nad ochroną przyrody.

Wynikiem tej pracy jest stworzenie w Polsce całego szeregu obszarów ochrony przyrody. Jesteśmy w tej dziedzinie na jednym z pierwszych miejsc w Europie, i to tak pod względem tworzenia rezerwtów, czyli mniejszych terenów, na których chroni się krajobraz, szatę roślinną i zwierzęcą, jak Parków Narodowych, czyli wielkich obszarów całkowitej ochrony przyrody.

Całkowicie utworzone, obejmujące cały teren, który należy chronić, są dwa Parki Narodowe, utworzone z inicjatywy Państwowej Rady Ochrony Przyrody przez Ministerstwo Rolnictwa, Dyrekcję Naczelną Lasów Państwowych: jeden nizinny, w puszczy Białowieskiej, o powierzchni ponad 5.000 ha, drugi górski, w Pieninach, o powierzchni około 800 ha. W Parku Białowieskim zwiedzający staje zdumiony przed drzewami olbrzymami, jak świerk o 50 metrowej wysokości, dąb ponad 600 letni, smigłe sosny, lipy, wiązy, klony i wiele innych gatunków drzew, tworzących prawdziwą puszczę nizinną, tę samą, która za Jagiellońskich czasów szumiała nad głowami naszych królów, odbywających tu łowy. W tej Puszczy, jedynej tego rodzaju w Europie, rozkwita do nowego ży-



Fot. W. Goetel.

*Cirque de Gavarnie w Pirenejach Francuskich. Projektowany pograniczny Park Narodowy*

cia pan borów i kniei, wspaniały żubr.

Park Narodowy Pieniński, stworzony w ostatnich latach drogą wykupna przez Państwo z rąk prywatnych najpiękniejszej części Pienin nad Dunajcem, to prawdziwy klejnocik krajobrazu górskiego. Białe iglice skałek pienińskich, oprawione w zielone, wesołe lasy i barwne łąki, opadają tu stromo nad rozhukane fale przeczystych wód Dunajca. W Dunajcu pluskają się szlachetne ryby: łosoś, pstrąg i lipień, nad turniami Pienin unoszą się liczne ptaki, z sępem i rozmaitem ptactwem drapieżnem na czele.

W Pieninach doszło do skutku utworzenie pogranicznego Parku Narodowego, podobnego do Parku Glacier w Ameryce Północnej, na granicy Stanów Zjednoczonych i Kanady. Mianowicie w dwa lata po ogłoszeniu Parku Narodowego Pienińskiego po stronie polskiej, utworzył Rząd Czechosłowacki z lasów państwowych po stronie czechosłowackiej Pienin t. zw. „Słowacki Rezerwat Przyrody" o powierzchni 420 ha. Rezerwat ten przylega ściśle wzdłuż granicy państwowej, którą tu tworzy Dunajec, do rezerwatu polskiego. Oba rezerwaty, o łącznej powierzchni 1200 ha, będą urządzone i prowadzone przez organy lasów państwowych na tych samych zasadach i na podstawie uzgodnionego wzajemnie statutu. Po stronie polskiej zostało utworzone osobne nadleśnictwo, po stronie czechosłowackiej leśnictwo. Kierownicy rezerwatów będą mieli pod swoimi rozkazami specjalną Straż Parkową, która będzie pilnowała porządku i odpowiedniego zachowania się turystów, zwiedzających Park. Dla dorady fachowej i naukowego kierownictwa obu rezerwatów utworzono osobne Komisje Parkowe, złożone z profesorów wyższych uczelni Polski i Czechosłowacji, geologów, botaników, geografów i t. d. Komisje te pracować będą pod przewodnictwem delegatów Ministerstw Rolnictwa, wzgl. Dyrekcyj Naczelnych Lasów Państwowych obu Państw. Celem udogodnienia turystyki wszelkiego rodzaju oraz ułtwienia dla ludności miejscowej zarobkowania z ruchu turystycznego, rozwijającego się w Parku i jego okolicy, zawarły ze sobą Polska i Czechosłowacja osobne umowy międzynarodowe. W ten sposób powstał w Pieninach Międzynarodowy Park Przyrody, który jest pierwszym w Europie, gdyż analogiczne prace nad utworzeniem pogranicznych Parków Narodowych na granicy Niemiec i Austrji (Karwendelgebirge) oraz Francji i Hiszpanji (Pireneje) nie są jeszcze zakończone. To też uroczystość ogłoszenia Parku Pienińskiego dn. 17 lipca b. r., zgromadziła liczne delegacje sfer oficjalnych, naukowych i turystycznych obu Państw, wyrażających głęboką radość z dojścia do skutku tego wielkiego dzieła.

Na zboczach majestatycznej Czarnohory utworzono w lasach państwowych trzeci Park Narodowy. Ciemne bory karpackie z nieprzejrzanemi łanami kosodrzewin i zielonemi połoninami, dzikie i



Fot. Zwolińscy.

*Dolina Białej Wody w Tatrach na pograniczu polsko-czechosłowackiem*

odległe od siedzib ludzkich, w których panują niedźwiedź i jeleń karpacki, ryś i wilk, znajdują tu ochronę. Obszar tego Parku Narodowego. wynoszący na razie około 1500 ha, będzie w przyszłości powiększony.

W toku utworzenia są Parki Narodowe w Tatrach, na Babiej Górze i w Górach Świętokrzyskich.

Najwspanialszy ze wszystkich będzie Park Tatrzański. Na piękno tego Parku składają się niebotyczne skały i turnie granitowe, wśród których kryje się mnóstwo ślicznych jezior górskich, bujne lasy świerkowe zmieszane z limbą na górnych krańcach wegetacji, niezmierne bogactwo kwiatów, z szarotką, storczykiem tatrzańskim (obuwikiem) i wielu innemi. Wśród zwierząt kozica, świstak, jeleń, ginący już w Tatrach, niedźwiedź oraz orzeł tatrzański. Podstawą do utworzenia Parku Tatrzańskiego jest hojna ofiara ś. p. hr. Władysława Zamoyskiego, i Jego Siostry, którzy darowali swe lasy tatrzańskie o obszarze około 6000 ha na własność Narodowi polskiemu, tworząc Fundację Kórnicką. Park Tatrzański będzie, podobnie, jak Pieniński, międzynarodowym. Po stronie czechosłowackiej Rząd tamtejszy czyni przygotowania do utworzenia Parku, zakupując intensywnie znaczne obszary leśne. Łączna powierzchnia obu Parków, polskiego i czechosłowackiego, będzie wynosiła w Tatrach ponad 600 $km_2$.



Fot. T. Zamojski.

*Babia Góra z puszczy Jałowieckiej*

Park Narodowy w Górach Świętokrzyskich, częściowo już utworzony na obszarach lasów państwowych, o powierzchni ponad 1200 ha, obejmuje słynną z powieści S. Żeromskiego „puszczę jodłową", co jest jak „siedlisko bożyszcz starych, po którem święty jeleń chodził, ucieczka anachiretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności" (Żeromski: Puszcza jodłowa).

W opracowaniu jest projekt Parku Narodowego na Babiej Górze, najwyższym szczycie Beskidu Zachodniego (1715 m.). Obejmie on partje szczytowe z charakterystycznem rumowiskiem głazów, z którego roztacza się przepiękny widok na Tatry oraz najwyższe części lasów i hal. W sumie będzie to kilka tysięcy hektarów, po polskiej i czeskosłowackiej stronie, w tem część lasów państwowych.

Doniosłym projektem Państwowej Rady Ochrony Przyrody, który niewątpliwie wzbudzi żywe zainteresowanie naszych sfer łowieckich, jest plan utworzenia olbrzymiego rezerwatu dla zwierzyny we Wschodnich Karpatach na przylegających do siebie terytorjach trzech państw: Polski, Czechosłowacji i Rumunji. Na obszarze około 100.000 ha w okolicach górnych źródeł Czeremoszów ma tu być chroniona „ciężka" zwierzyna, jak jeleń, niedźwiedź, ryś, żbik, wilk, orzeł skalny i t. d. Projekt ten ma szanse realizacji wobec życzliwej współpracy w tej sprawie kół kulturalnych trzech państw i będzie nowym pomnikiem międzynarodowego porozumienia.

Wśród pomniejszych rezerwatów, już utworzonych w Polsce, wspomnieć należy o Świtezi, jeziorze, związanem z pamięcią Adama Mickiewicza, o Kępie Radłowskiej nad Bałtykiem z lasem mieszanym i bogatą florą, o rezerwatach dla łosi w lasach państwowych w Grodzieńszczyźnie, dla bobrów na Polesiu, o największym w Europie rezerwacie cisowym w Kniaźdworze pod Kołomyją, liczącym około 20.000 sztuk cisów, o rezerwatach, obejmujących resztki stepów podolskich, o jedynym na świecie rezerwacie kopalnianym, obejmującym grotę



Fot. Dr. Burczyński

*Niedźwiedź w Beskidach Wschodnich*

kryształową w Wieliczce i t. d. W Karpatach utworzył przepiękne rezerwaty leśne w Beskidzie Nowosądeckim hr. Adam Stadnicki z Nawojowej, a w Gorcach rezerwat puszczy, opiewanej przez W. Orkana, hr. Wodzicki z Poręby Wielkiej. W toku tworzenia znajduje się rezerwat na Baraniej Górze w lasach państwowych, którym zostanie objęta świętość narodowa: źródła Wisły.

W ten sposób mamy już 3 Parki Narodowe w całości, lub w znacznej części utworzone, 3 w toku realizacji, 65 rezerwatów leśnych, 17 rezerwatów stepowych, 10 rezerwatów torfowiskowych, 3 rezerwaty jeziorne, 5 rezerwatów skalnych, 2 podziemne, 13 zwierzęcych, razem 115 rezerwatów, o powierzchni kilku dziesiątek tysięcy hektarów.

Z głębokiem uznaniem muszę podnieść, że w tem wielkiem dziele w pierwszej linji kroczą Polskie Lasy Państwowe z Dyrekcją Naczelną Lasów Państwowych na czele. Dla prac badawczych oraz kierownictwa rezerwatami i Parkami Narodowemi utworzyła Dyrekcja Naczelna specjalny dział w Zakładzie Doświadczalnym Lasów Państwowych w Warszawie. Prace Zakładu rozwijają się pomyślnie, w toku jest opracowanie zasad urządzania i prowadzenia rezerwatów i Parków Narodowych. Z Zakładem współpracuje harmonijnie Państwowa Rada Ochrony Przyrody, której inicjatywa znajduje w Dyrekcji Naczelnej Lasów zawsze żywy oddźwięk i uwzględnienie. W ten sposób ujęto w naszem państwie również stronę organizacyjną urzędową ochrony przyrody w lasach państwowych w sposób należyty.

Wszystko razem, czego Polska dokonała w zakresie ochrony przyrody, jest to dorobek kulturalny, z którego możemy prawdziwie być dumni!

*Dr. Walery Goetel,*
*Profesor Akademji Górniczej w Krakowie.*

# Z ŻYCIA LEŚNIKA AKADEMIKA

## PRAKTYKI ZAGRANICZNE

Jedną z najbardziej, od szeregu lat ważnych agend Kół Naukowych, jest agenda praktyk, której zadaniem jest staranie się o praktyki zarówno krajowe, jak i zagraniczne, oraz sprawiedliwy rozdział ich między członków.

Młodzież od szeregu lat, korzystając z praktyk wakacyjnych za pośrednictwem własnych Kół Naukowych, wyrobiła sobie przekonanie, że tylko własne ich organizacje naukowe potrafią w zrozumiały i doskonały sposób starać się o praktyki, ułatwiać je i rozdzielać.

Stale, czy to na Walnvch Zebraniach Kół Naukowych, czy przy okazji składania memorjałów z racji niedogodnego załatwiania spraw, związanych z praktykami przez Ministerstwa — młodzież akademicka wykazywała swą troskę o to, aby sprawy praktyk wakacyjnych należały do niej, aby mogła pracowicie dążyć do normalizacji tych spraw dla dobra nauki i przyszłego zawodu.

Podkreśliła przy tem swe zaufanie do działalności Kół Naukowych.

Koła Naukowe, rozumiejąc znaczenie wspólnych wystąpień, zwłaszcza na terenie zagranicznym, utworzyły w łonie Ogólnopolskiego Zwiazku Akademickich Kół Naukowych wspólne „Biuro Praktyk", którego zadaniem jest staranie się o praktyki zagraniczne dla poszczególnych Kół.

Ogólnop. Związek Akad. Kół Nauk. przez Biuro Praktyk nawiązał ścisły kontakt z krajami zaprzyjaźnionemi i od szeregu lat pomyślnie pracuje nad dostarczaniem zagranicznych praktyk wymiennych. Zagraniczne związki studenckie, mają doń pełne zaufanie, na co dowodem są obcokrajowcy, odbywający praktyki w naszym kraju, oraz liczna życzliwa korespondencja.

Należy przypomnieć, że Protektorat nad Pierwszym Kongresem Naukowym P. M. A., który Ogólnopol. Zw. Akad. Kół Nauk. zorganizował — objął ś. p. Dr. Sławomir Czerwiński, ówczesny minister W. R. i O. P., oraz szereg rektorów wyższych uczelni. Spotykając się więc z przyjaznym stosunkiem zagranicy, oraz naszych władz dla naszej pracy, prowadziliśmy ją i prowadzimy intensywnie.

Jednak... coś się stało!

W bież. roku Biuro Praktyk przy O.Z.A.K.N. spotkało się z odmową na terenie naszych placówek zagranicznych, do których zwróciło się o pośrednictwo w uzyskaniu praktyk. W odpowiedzi placówki dyplomatyczne powołały się na okólnik Minist. Spraw Zagr., nakazujący im wszelkie praktyki kierować do „Akademickiego Związku Zbliżenia Międzynarodowego — Liga".

Na terenie Kół Naukowych powstało przykre zdziwienie na temat nowo powołanej organizacji „Liga" i kompetencji jej co do praktyk zagranicznych.

Zainteresowano się powstaniem tej organizacji.

Jak się okazuje na zebraniu organizacyjnem, mającem na celu utworzenie wyżej wspomnianej „Ligi", prócz przedstawicieli Komitetów Organizacyjnych Kół Akademickich Przyjaciół Francji i Rumunji, oraz Brytyjskiego i Słowiańskiego Związku Akadem. — towarzystw zalegalizowanych, wzięli udział przedstawiciele szeregu innych związków nielegalnych.

Przedstawiciele związków zalegalizowanych, widząc, że Komitet Organizacyjny powołuje nielegalne związki w charakterze założycieli, stanął na stanowisku niezgodnem z ustawą o szkołach akadem., oraz, przewidując negatywne ustosunkowanie się Władz Akad. do nielegalnie powstającego tworu „Ligi" — zwrócili na to uwagę, a po nieprzyjęciu tej uwagi, opuścili zebranie.

W ten sposób powstał Akadem. Zw. Zbliż. Międzynar. — Liga, oparty na kilku zaledwie niezalegalizowanych i nienaukowych kołach.

Dla Kół Naukowych niezrozumiałe jest powołanie do życia tej organizacji, centralizującej praktyki zagraniczne i to w chwili, kiedy od szeregu lat istnieje Ogólnopolski Zwiazek Akademickich Kół Naukowych z Biurem Praktyk, rozwijając skuteczną działalność zagranicą.

Na terenie Kół Naukowych istnieją poważne obawy, że „Liga", jako nowy twór, nieoparty na Kołach Nauk., nie mający popularności ani zaufania w szerszych kołach młodzieży akadem. — wprowadzi zamęt i dezorjentację w stosunkach naszych z zagranicą.

Dowodem na sprawdzalność tych obaw są trudności, jakie Biuro nasze napotkało przy staraniu się o praktyki zagraniczne w roku bieżącym.

*W. Gajewski*

## KOŁO LEŚNIKÓW S. G. G. W. WARSZ. ZEBRANIE INFORMACYJNE

Zarząd K. L. dnia 11.X.32 r. urządził zebranie informacyjne dla nowozapisanych na Wydział Leśny S. G. G. W.

O Kole Leśników i jego działalności przemówił: W. Gajewski, oraz na temat soudjów na Wydziale Leśnym—K. Rzepecki. Należy podkreślić celowość urządzania zebrań dla nowowstępujących na uczelnie, przez zaznajomienie ich z organizacją życia akademickiego na terenie uczelni oraz przez udzielenie im wskazówek jak mają skutecznie prowadzić swe studja.

Zebranie, zaszczycili swą obecnością I. M. Pan Rektor: J. Sosnowski, Pan Dziekan Wydziału Leśnego: W. Wierzbicki i Pan Prof. W. Jedliński Członek Honorowy K. L.

## NOWY LOKAL K. L.

Dotychczasowy lokal Koła Leśników, mieszczący się przy ul. Miodowej 23 — przeniesiony został na ul. Rakowiecką 8 i mieści się w głównym gmachu uczelni.

Ze względu na to, iż w gmachu tym mieszczą się wszystkie organizacje akademickie uczelni i stale w nim przebywa większość studentów — należy przypuszczać, że wołynie to korzystnie na dalszy rozwój Koła.

# PROPAGANDA LEŚNICTWA WE FRANCJI

W zeszycie październikowym „Ech Leśnych" przedstawiłem w krótkim zarysie metody propagandy leśnictwa na Łotwie, w kraju, w którym do niedawna akcja ta była nieznana.

W niniejszym artykule pragnę przerzucić się na drugi koniec Europy — do Francji. Lasy francuskie, ze względu na warunki klimatyczne posiadają częstokroć zupełnie inny charakter, niż w Polsce. Pod jednym względem są one jednak do lasów polskich podobne: we Francji, jak i u nas lasy giną, a trzeźwo patrząca część społeczeństwa pełna jest trosk o ich przyszłość i stara się nietylko to, co pozostało, ratować, lecz również obszar lasów powiększać.

Dla orjentacji podaję parę dat statystycznych: ogólna powierzchnia Francji wynosi w okrągłych liczbach 55 miljonów hektarów, w tem lasów 10347000 ha, zatem lesistość wynosi 19%. Ponieważ Francja liczy 39870000 mieszkańców, przeto ilość lasu, przypadająca na 1 mieszkańca, wynosi zaledwie 0.26 ha. Pod względem lesistości stoi zatem Francja niżej od Polski i zajmuje 16-te miejsce w Europie.

Powyższe liczby wyraźnie wskazują, że troska społeczeństwa frncuskiego o las jest uzasadniona. A że niszczenie lasu rozpoczęło się we Francji bardzo dawno i wielkie obszary — zwłaszcza w górach — zamieniły się w nieużytki, walka o las musiała przybrać formy energiczne.

Walkę tę prowadzą leśnicy i miłośnicy lasu we Francji drogą różnorodnej propagandy. Rozpoczęła się ona już dawno i dała piękne wyniki, nie takie jednak, jakich — sądząc z długoletniej propagandy — należałoby się spodziewać. Może przyczynia się do tego znaczne rozdrobnienie akcji w licznych organizacjach, nie posiadających organizacji wspólnej, naczelnej, którąby uzgadniała rozproszone wysiłki.

Rozwój propagandy leśnej zawdzięcza Francja, jak to miało miejsce i w innych krajach, energji i poświęceniu jednostek. Jednostką taką był nieżyjący już *Paweł Descombes,* który życie swoje poświęcił umiłowanej idei zalesiania nieużytków i meljoracji pastwisk górskich. Słowem, czynem i piórem szerzył swe idee w społeczeństwie tak, jak nikt przed nim i po nim tego robić nie potrafił. Działalność swoją rozwijał na terenie „Centralnego Stowarzyszenia dla Zagospodarowania Gór" i poświęcił jej 23 prace drukowane. W jednej z nich wylicza *Descombes* 14 organizacyj społecznych, zajmujących się propagandą lasu i akcją zalesieniową.

Z tych 14 organizacyj pragnę wyróżnić jedną, zapoznając z jej działalnością czytelników „Ech Leśnych". Organizacją tą jest „Francuskie Towarzystwo Przyjaciół Drzew", założone w r. 1895, posiadające w chwili obecnej 8 oddziałów prowincjonalnych.

Jakkolwiek Towarzystwo nosi nazwę „Przyjaciół Drzew", w rzeczywistości jest ono nastawione— zarówno jak szereg innych towarzystw o najróżnorodniejszych nazwach — na propagandę lasu, a w szczególności zalesiania nieużytków. Towarzystwo wydaje własne pismo pod nazwą „L'Arbre" („Drzewo"), wychodzące 4 razy do roku w postaci numerów: wiosennego, letniego, jesiennego i zimowego, a niezależnie od tego pisma, poszczególne oddziały T-wa wydają własne „biuletyny". Opłaca się to finansowo, gdyż niektóre oddziały liczą po tysiąc kilkuset członków.

Towarzystwo dąży do osiągnięcia swych celów różnemi drogami. W celach propagandowych rozdaje bezpłatnie swoje wydawnictwa, ogłasza artykuły w prasie codziennej, organizuje wystawy leśne, udziela nagród pieniężnych dla gajowych, nadzorców i robotników, gorliwie pracujących przy zalesianiu nieużytków i wyróżniających się w walce z tak groźnemi we Francji pożarami leśnemi, oraz nagród honorowych w postaci medali dla właścicieli, zalesiających swe nieużytki.

Towarzystwo współdziała też czynnie w akcji zalesiania nieużytków, głównie przez bezpłatne rozdawnictwo nasion leśnych, sprzedaż po cenach zniżonych sadzonek, nabywanych w lasach państwowych lub hodowanych we własnych szkółkach, oraz przez udzielanie zasiłków na cele zalesieniowe.

Działalność T-wa nie odbiega zbytnio od programów podobnych organizacyj we Francji i innych krajów, natomiast wyróżnia się ono celowością swych poczynań i pracą żywą i ruchliwą.

Odmienny charakter, specyficznie francuski, nieznany w innych krajach, posiadają „Szkolne Towarzystwa Leśne". Powstały one w r. 1894 i rozwinęły się względnie szybko, gdyż przed wojną światową było ich 6000 (danych powojennych nie posiadam).

Jest to organizacja niesłychanie ciekawa, gdyż łączy w sobie propagandę, nauczanie, czynną pracę zalesieniową i spółdzielczość.

„Szkolnym Towarzystwo Leśnym" zamierzam poświęcić innym razem więcej miejsca i uwagi, narazie ograniczam się do zaznaczenia, że są to zrzeszenia uczniów szkół powszechnych i słuchaczów kursów dla dorosłych, mające na celu czynne zalesianie nieużytków. Młodzież szkolna, wnosząca jako składkę do Towarzystwa jedynie swą pracę, wchodzi w skład członków rzeczywistych, starsi, opłacający składkę roczną, lub dający ofiary w naturze lub gotówce, są członkami honorowymi. Pierwszorzędną rolę odgrywa w Towarzystwie kierownik szkoły, a dopomagają mu miejscowi lub sąsiedni leśnicy.

Na to jednak, aby takie towarzystwa mogły powstać i istnieć, musi szkoła czynnie współpracować. Współpraca taka jest we Francji nietylko możliwa, lecz oddawna w czyn wprowadzona, bowiem wiejska szkoła powszechna nie jest tam czemś oderwanem od życia. Jest ona zarazem szkołą rolniczą, gdyż podawane są w niej najważniejsze wiadomości nietylko z rolnictwa w ścisłem znaczeniu, lecz i z leśnictwa, a nauczyciel i uczeń tej szkoły ma do dyspozycji popularny, krótki podręcznik „Pierwsze wiadomości z leśnictwa".

Propaganda leśna we Francji obejmuje obok szkół również i wojsko. W akcji dokształcającej w wojsku uwzględnione jest i leśnictwo. Świetny popularyzator wiedzy leśnej, równocześnie doskonały fachowiec, zmarły w roku bieżącym *A. Jacquot*, pozostawił po sobie między innemi pracami zbiór 14 odczytów, objętych wspólnym tytułem „Las". Książka ta używana jest jako podręcznik w wojsku.

Jak widzimy, propaganda leśna we Francji obejmuje wszystkie warstwy ludności i prowadzona jest celowo i umiejętnie, stanowiąc pod niejednym względem wzór do naśladowania.

*Jan Kloska.*

# ORGANIZACJA WOJSKOWA KORPUSU LEŚNIKÓW WE FRANCJI

*(Wyciąg z dzieła niemieckiego sztabu generalnego o wojsku francuskim z 1909 roku).*

*Z uwagi na szczególne zainteresowanie się leśników sprawą należytego wykorzystania naszego „korpusu leśnego" w celach obrony wojskowej, na wypadek wojny, Redakcja zamierza przedstawić w szeregu artykułów stan rzeczy, istniejący w innych krajach i to od czasów dawniejszych, by po zaznajomieniu się później z dojrzewaniem i współczesnym rozwojem tej sprawy na gruncie Europejskim, tem łatwiej można było zorjentować się w potrzebach i możliwościach własnych.*

*Redakcja*

Wzmocnienie nie do pogardzenia powstaje dla armji francuskiej w razie wojny przez użycie leśników, którzy, sformowani w jednostki wojskowe (kompanje, plutony) w okolicach granicznych, w rejonie obszarów warownych i w górach, dzięki dokładnej znajomości miejscowości mogą oddać cenne usługi kierownictwu wojskowemu.

Urządzenie to zresztą nie nowe. Historja leśników sięga do czasów wojen z końca drugiego Cesarstwa. W roku 1870 brano zawsze zwiadowców dla ruchów wojsk z pomiędzy leśników, a proces Marszałka Basaine wykazał, że ostatnie depesze marszałka Mac Mahon zostały przeniesione przez leśników do Metzu przez pruskie linje oblężnicze. Pod względem wartości wojskowej strażnicy leśni we Francji przedstawiają wyższą klasę od strażników celnych, którzy są również zmilitaryzowani, ponieważ zmieniają rzadziej miejsca służbowe, dlatego lepiej znają okolicę i stąd są lepszymi przewodnikami.

Łącznie ze strażnikami granicznymi, należą (w myśl ustaw o obronie państwa z roku 1873 i 1889) w razie mobilizacji, do sił zbrojnych państwa, podlegają prawu wojennemu i mają charakter wojska regularnego, posiadając jego prawa.

Wyżsi urzędnicy, zależnie od stopnia, posiadanego w Departamencie Leśnym, otrzymują stopnie armji rezerwowej, względnie terytorjalnej od podporucznika do pułkownika; personel niższy od kaprala — do sierżanta.

Ponieważ, aby zostać leśnikiem, trzeba było wysłużyć w wojsku i osiągnąć stopień podoficera — posiadają leśnicy dobre wyszkolenie wojskowe.

Wyżsi urzędnicy leśni uzupełniają się przedewszystkiem ze szkoły leśnej w Nancy, która jest zorganizowana wojskowo. Wychowankowie tej Ecole Forestière liczą się, jako pełniący czynną służbę i otrzymują wojskowe wykształcenie. Dzięki temu stoją wyżej od urzędników celnych, którzy mogą być oficerami rezerwy, lecz których zajęcia biurowe czynią bardziej obcymi zadaniom obrony. To też o korpusie leśnym możemy mówić, jako o rodzaju wojska wojskowo wyszkolonym i dowodzonym przez odpowiednio przygotowanych dowódców.

Pod względem rodzajów służby wojskowej dzielą się leśnicy na dwie kategorje, obydwie wchodzące w skład armji terytorjalnej.

Pierwsza kategorja obejmuje leśników stacjonowanych w pobliżu twierdz i fortec.

Wyżej wymienieni, sformowani w forteczne kompanje i plutony, zostają przyłączeni do załogi obszaru warownego.

Druga kategorja obejmuje — wszystkich innych, zdatnych do broni leśników. Tworzy ona czynne plutony, kompanje i bataljony, przeznaczone w rejonie okręgu swej pokojowej działalności do wspierania armji czynnej.

W czasach pokojowych obie kategorje podlegają komendantom okręgów, w których okręgu mają służbowe stanowiska.

Tworzenie oddziałów ruchomych następuje w ten sposób, że leśnicy pozostają, o ile możności pod rozkazami swych zawodowych przełożonych. Kadra kompanji wynosi conajwyżej: 1 kapitana — dowódcę, 1 kapitana — zastępcę, 2 podporuczników, 1 sierżanta, 5 plutonowych, 8 kaprali; kadra plutonu zmobilizowanego nie powinna być wyższa od połowy kadry kompanji, ewentualnie winna posiadać tylko jednego oficera. Minister wojny określa miejsca formowania i komunikuje ministrowi rolnictwa już w czasie pokoju oraz zaznacza, czy posiadani leśnicy mają mu być oddani w całości, czy w części do dyspozycji.

Wyżsi urzędnicy leśni, zależnie od stopnia, mogą być nadto używani w sztabach i oddziałach wojska czynnego, lub wojska terytorjalnego, ponieważ ze względu na ich liczbę, tylko część ich znajdzie miejsce w formacjach leśników, które w zasadzie tylko na pograniczu, w większych obszarach warownych i w zagrożonych okolicach leśnych są używani.

W czasach pokojowych leśnicy podlegają rocznym inspekcjom, naturalnie tylko w bardzo ograniczony sposób i w małych oddziałach, aby nie szkodzić interesom leśnictwa. Wyszkolenie z nowo-wprowadzonym karabinem M. 86 miało np. miejsce od 8 — do 13 grudnia 1893 r. w ten sposób, że pewna ilość urzędników wszelkich stopni była szkolona w najbliższym pułku piechoty i uzyskane wyszkolenie musiała przekazywać dalej w korpusie leśnym.

Mundur leśników ustanawia minister rolnictwa, uzgadniając go z ministrem spraw wojskowych, w szczególności co do odznak stopni, które są identyczne z wojskiem.

Wyżsi urzędnicy zatrzymują swój mundur jako chasseurs forestiers. Ministerstwo wojny dostarcza uzbrojenia (w r. 1893 dostarczono formacjom leśników 25 000 karabinów), pozatem tornistry, namioty, kotły do gotowania. Koszty konserwacji broni ponosi ministerstwo rolnictwa, które dostarcza również mundurów i bielizny.

Wszyscy wyżsi urzędnicy, (w razie mobilizacji) na przedstawienie obu zainteresowanych ministrów resortów są przez Prezydenta Rzeczypospolitej zatwierdzani w swych stopniach oficerskich już to w korpusie leśnym, już to w formacji wojska, przy której służbę pełnią.

Komendy P. K. U. są przez konserwatorów lasów państwowych i nadleśniczych utrzymywane w kursie wszystkich zmian personalnych w korpusie leśnym i są w ten sposób w możności uaktualniać swe listy reklamacyjne. Tylko tacy urzędnicy w stopniu podoficerów lub szeregowych, którzy w zarządzie leśnym przesłużyli conajmniej 6 miesięcy, mogą być oddawani oddziałom wojska w razie mobilizacji.

Od chwili mobilizacji, cały korpus strzelców leśnych jest w dyspozycji ministra wojny. Niemałej wagi jest postanowienie, że wszystkie, przewidziane w planie mobilizacyjnym formacje leśników już przed mobilizacją mogą być powołane do broni.

W Algerji (w każdej z trzech prowincyj), istnieje szwadron leśników w dyspozycji generalnego gubernatora Algerji. Prace mobilizacyjne dla leśników wykonuje w Algierze — zarząd celny.

W roku 1909 był następujący stan oficerów - leśników: podpułkowników 9, majorów 68, kapitanów 173, poruczników 136.

Leśnicy formowali:

a) w armji polowej — 45 kompanij i 17 plutonów w Europie, 10 plutonów w Algerze,

b) w armji etapowej — 4 kompanje. 21 plutonów w Europie, 8 plutonów w Algerze.

Ogólny stan leśników wynosi: 700 wyższych urzędników leśnych (konserwator, inspektor, nadleśniczy) i 8.000 podurzędników (leśniczowie), którzy częściowo są zajęci w lasach państwowych (leśniczowie powiatowi) częściowo w lasach gminnych (leśniczowie gminni). Leśnicy w lasach granicznych odbywają co miesiąca w małych grupkach ćwiczenia polowe i strzeleckie.

Charakterystyczną jest rzeczą rozmieszczenie tego personelu nietylko w zależności od potrzeb administracji lasów, lecz również od obrony państwa. a więc wzmocnienie go na pograniczu i w rejonach fortec.

(dok. nast.)

*L. Koczur Rutkowski.*

# ECHA ŁOWIECKIE

## ŚW. HUBERT W SPALE

Jeżeli nadużywamy nieraz porównania, twierdząc, że to i tamto jest „stare, jak świat", to najmniej chyba grzeszymy, gdy mowa jest o myśliwstwie. Ileż to bowiem tysiącleci dzieli nas od biblijnego potopu, a przecież wtedy już najlepszy z patriarchów — Noe, troskał się o uciechy łowieckie potomnych, ratując w słynnej arce tyle par zwierząt i ptaków łownych. I już wtedy się stało, że jeden z trzech synów Noego, Cham, zrodził Kusza, Kusz zaś zrodził Nemroda, o którym wiemy, że był wielkim myśliwym.

Od czasów tego prałowcy naszego minęło wiele wieków, a człowiek wciąż się mnożył i polował. Zrazu była to walka z mocniejszym zwierzem, potem przyszła przewaga człowieka, i łowiectwo stało się codziennem zajęciem ludzi z okresu myśliwskiego. Zczasem zjawiła się kultura, a wraz z nią — nowa era łowiectwa. Wyniesiono je na dwory możnych i królów, których było ono najmilszą uciechą i rozrywką.

Niewiadomo jak bardzo lubił polować legendarny król Merowech — protoplasta frankońskiej dynastji Merowingów. Zdaje się jednak być pewnem, że jeden z ostatnich królów tej dynastji, Teodoryk III, przekładał łowy nad wiele innych rozkoszy, skoro na dworze jego urząd ochmistrza sprawował sam św. Hubert.

Późniejszy patron myśliwych nie był wtedy jeszcze świętym, więc nie mógł dojść do zgody z pierwszym ministrem króla — Ebroinem. Wolał mu jednak ustąpić i przenieść się na dwór Pepina, do Austrazji. Tu ożenił się z Florybaną, a owocem tego związku był syn Filibert, zczasem biskup i następca swego ojca na katedrze biskupiej w Leodjum.

Prócz niezachwianych cnót małżeńskich i ojcowskich, dzielny dworzanin Pepina mieścił w sobie wiele zalet rycerskich; nadewszystko zaś lubił polować. Kiedyś, polując w wielki piątek, gonił śmigłego jelenia. W pewnej chwili jeleń obrócił się i stanął, a widok szlachetnego księcia kniei był tak niezwykły, że myśliwy opuścił mimowoli broń, gotową do zadania śmiertelnego ciosu. Z odległości kilku zaledwie kroków, patrzyły nań mądre oczy zwierzęcia, pełne nieziemskiego wyrazu i dziwnej, niezrównaniej mocy. W środku wspaniałego wieńca złocistych rogów, jaśniał w promiennej aureoli krzyż. I zdało mu się, że słyszy głos jelenia, i że w głosie tym rozpoznaje wolę nieba.

Odtąd, wierny towarzysz wypraw królewskich i namiętny myśliwy zaniechał na zawsze polowań. Niebawem odumarła go umiłowana żona, i osierocony małżonek wstąpił do klasztoru w Stabloo, przyjmując święcenia duchowne. Widzimy go później w otoczeniu biskupa Lamprechta w Maastricht (w dzisiejszej Holandji), a potem — w Rzymie. Po zamordowaniu w Leodjum L'amprehta, papież Sergjusz uczynił go następcą zmarłego biskupa, a nowy biskup przeniósł katedrę z Maastricht do Leodjum, wznosząc tu świątynię katedralną pod wezwaniem św. Lamprechta. Reszta życia świątobliwego pasterza, zawsze pełnego gorliwej pobożności i cnót, mija wśród powszechnej czci i dozgonnego uznania wiernych. Umiera dnia 29 czerwca 727 r., a po blisko stu latach ciało św. Huberta, przeniesione z Leodjum, spoczęło w opactwie Benedyktynów w Andain (Ardenny).

Nie można się dziwić, że szczególne koleje życia pobożnego sługi kościoła i cud, jakiego doznał, sprawiły, iż poczęto go powszechnie uważać za uświęconego patrona myśliwych. Wprawdzie legendę o spotkaniu z jeleniem jeszcze w X. stuleciu łączono z imieniem św. Eastachjusza, od wieku jednak XV berło tego patronatu dzierży niepodzielnie św. Hubert.

W dzień św. Huberta, obchodzonym 3 listopada, na dworach królewskich i książęcych rozbrzmiewały trąbki myśliwskie, a po łowach odbywały się wspaniałe uczty i biesiady.

Zwolna krzepła i szerzyła się tradycja czci św. Huberta, aż przedostała się po przez granice wszystkich niemal krajów, znajdując wszędzie trwałą gościnę. Z biegiem lat zwyczaj ten dotarł również i do nas, będąc w różnych latach na różne sposoby obchodzony. Już w Polsce niepodległej, piękny hołd wiekowej tej tradycji, złożyło Małopolskie Towarzystwo Leśne, fundując w r. 1926 w lwowskim kościele Św. Elżbiety ołtarz z obra



*Noe pamiętał o myśliwych...*



Fot. St. Konarzewski

*Pobudka, odegrana przez gajowych, na trąbkach myśliwskich*

zem Św. Huberta, pendzla K. Sichulskiego.

Wszelako tradycję obchodu tego święta na skalę, godną św. Patrona, wskrzesił w Polsce Najdostojniejszy Protektor łowiectwa, Prezydent Rzplitej Ignacy Mościcki, urządzając w r. 1930 pierwszy obchód św. Huberta w Spale. Od tego czasu trzeci już rok z rzędu przybywa Św. Hubert w gościnę do naszego kraju, aby się dowoli nacieszyć wielką radością polskich serc myśliwskich, ponoć najbardziej świętemu patronowi bliskich. A w tym roku zawitał on do nas wcześniej, niż gdzieindziej. Duch jego gościł wśród sarmackiej braci myśliwskiej już w dniu 30 października, gdyż w tym właśnie dniu, wolnym od pracy, zjechali się do Spały zaproszeni przez Głowę Państwa leśnicy - myśliwi. Zapewne niemniej od nas wszystkich cieszył się z tego przesunięcia daty sam święty Solenizant, była to bowiem niedziela, dzień dla świętego najmilszy. Miał przytem dość czasu, iżby zabawiwszy na ziemi, mógł wrócić w terminie pod rozkazy św. Piotra, od którego w dniu swych imienin wypadało przyjąć życzenia i któremu należał się raport, jak to też pięknie w tej polskiej Spale było.

Spała, jako letnia rezydencja Pana Prezydenta Rzplitej, jest dość dobrze dziś społeczeństwu naszemu znana, dzięki urządzanym w niej dożynkom, Świętom młodzieży i t. p. Jest ona malowniczo położona nad brzegiem Pilicy, będąc otoczona rozległym parkiem i dużemi kompleksami lasów. Nazwę tej miejscowości zawdzięczamy właścicielowi młyna — Spale, który, jak świadczą o tem znalezione akta, mieszkał już tu w XVII stuleciu.

Jako osada istniała ona już podobno w wiekach średnich, a nawet za czasów pierwszych książąt polskich w okolicznych lasach miały się odbywać wielkie łowy na grubego zwierza. Polowali tu również często królowie Władysław Herman, Władysław Jagiełło i Kazimierz Jagiellończyk.

Wchodząc w obręb księstwa łowickiego, Spała znalazła się w posiadaniu carów rosyjskich, a Aleksander III zbudował tu do dziś istniejący pałacyk drewniany. Za Mikołaja II-go, który po raz ostatni polował w Spale w r. 1912, powstały na terenie parku nowe budowle, rażące swym szpetnym i „kazionnym" stylem na pięknem tle krajobrazu spalskiego.



*Pan Prezydent opuszcza kaplicę po nabożeństwie*

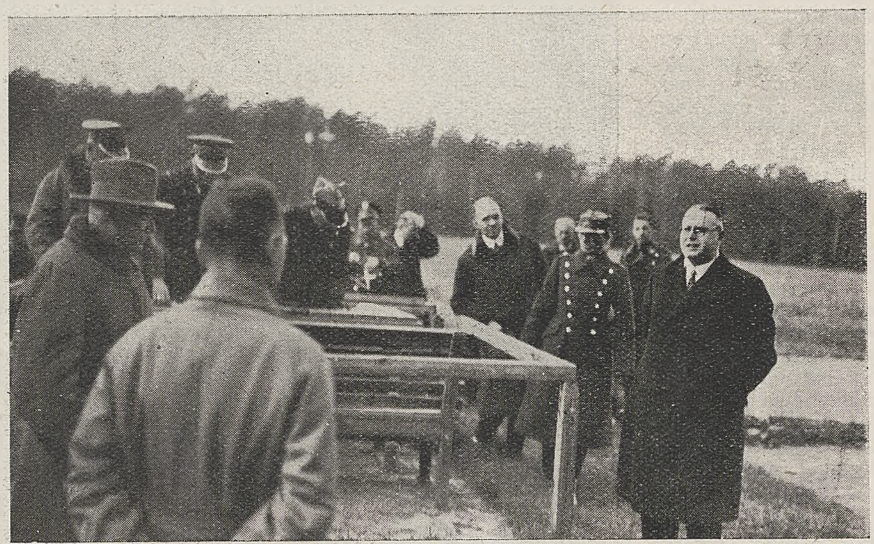
Teraz nie ustają tu energiczne zabiegi nad usunięciem skutków wojny światowej i rabunkowej gospodarki okupantów, a wszystko dokoła znów nabiera charakteru polskiego. Szczególnie jednak dodatnio się kształtuje hodowla wyniszczonej czasu wojny zwierzyny łownej, której stan, dzięki wysiłkom leśników polskich, zwolna powraca do przedwojennej świetności.

Ci to właśnie leśnicy, rozsiani po puszczach i borach Rzeczypospolitej, których trudy i wysiłki nad pomnożeniem naszych bogactw łownych mógł stwierdzić w lasach polskich osobiście Dostojny Gospodarz Państwa, byli tej niedzieli zaproszeni przez Pana Prezydenta do Spały, by wziąć udział w uczczeniu Św. Huberta.

Z wieczora, w wigilję uroczystości, przeznaczone dla gości oficyny ożywiły się gwarem przybyłych ze wszystkich stron Polski uczestników jutrzejszego obchodu.

Prócz Naczelnego Dyrektora Lasów Państwowych p. Loreta, widzimy tu pp. Dyrektorów: Chwalibogowskiego, Grzegorzewskiego, Lorkiewicza, Mickiewicza i Szemiotha, Wicedyrektorów p. p. Biluchowskiego i Lachmajera, Naczelnika p. Rosińskiego, Konsultanta łowiectwa p. inż. Knothe, Łowczego i znanego pisarza myśliwskiego — p. Korsaka, dalej kilku inspektorów lasów, wielu nadleśniczych, leśniczych i gajowych. Wśród gości widzimy również Prezesa Związku Leśników p. insp. Nagabczyńskiego, który miał zaszczyt reprezentowania w Spale sześciu z górą tysięcy leśników. Zapraszając poraz pierwszy tego roku Prezesa największej w kraju organizacji leśnej, Pan Prezydent dał wyraz swej życzliwości i sympatji dla ogółu leśników polskich, który niewątpliwie potrafi ten miły dowód uznania wdzięcznem sercem ocenić. Po raz pierwszy wreszcie, widzimy w Spale przedstawicieli prasy leśnej w osobach redaktorów „Ech Leśnych" i „Niwy Leśnej".

Już wczesnem ranem, w niedzielę, rozbrzmiały dźwięki pobudki, odegranej na trąbkach myśliwskich. Echa radosnej melodji wypełniły rozległy park



Fot. St. Konarzewski

*Szef Kancelarji Cywilnej Prezydenta Dr. B. Hełczyński wygłasza przemówienie przed rozdaniem nagród*



Fot. St. Konarzewski

*P. Prezydent z zainteresowaniem przygląda się wyczynom konkursowym gajowych. Na zdjęciu od lewej ku prawej: P. Prezydent Rzplitej, P.P. Dyrektor Naczelny lasów państwowych A. Loret, Prezes Związku Zaw. Leśn. M. Nagabczyński i Dyrektor lasów państw. w Radomiu E. Mickiewicz. Na drugim planie: Adjutant P. Prezydenta por. Krotkiewski i Redaktor „Ech Leśnych" Chociłowski*

pałacowy, cichy i cały wyzłocony słońcem, odbiły się o ściany szkarłatem ubarwionych drzew i zamarły kędyś w przezroczystych dalach jesiennego poranku. Św. Hubert musiał być dumny z gajowych nadleśnictwa Glinna, którzy powitali go tem wdzięcznem graniem i przypomnieli mu, jak się to rozpoczyna „owa rycerska zabawa, która ludziom szlachetnym radości dodawa".

Tłumnie się poczęli gromadzić adepci Patrona myśliwych, by wespół z Dostojnym jego wyznawcą, Panem Prezydentem wysłuchać mszy świętej. Na drodze, wiodącej ku kaplicy, ustawia się szpaler stu zgórą osób — nadleśniczych, leśniczych, gajowych. Największej gajowych — wszystko dzielne wiarusy z Kresów, z Białowieży, ze Śląska. Z widocznem wzruszeniem na twarzach wyczekują chwili przejścia Prezydenta Państwa, który w otoczeniu świty i p. Dyrektora Loreta, podąża wzdłuż szpaleru. Dźwięczą fanfary trąbek myśliwskich, krótko brzmi raport leśny, pręży się na baczność kolumna gajowych. Po chwili orszak wchodzi do kaplicy.

Jakże silne i niezapomniane wrażenie wywiera to skromne, małe wnętrze sosnowej kapliczki. Już sam widok zewnętrzny kościołka, zbudowanego w pięknym stylu polskim, wzrusza oko i serce przybysza. Strzelista wieżyczka świątyni na tle gonnych sosen i świerków przemawia miłą, nienarzuconą swojskością i harmonijnie się dostraja do otaczającego Spałę krajobrazu. Dopieroż proste, ciosane ściany, skromna białość lipowego ołtarza, blask świec przed łagodnem obliczem Matki Chrystusowej, cisza uroczysta i płynąca z okien mistyczna wymowa witrażów — wszystko to zcisza nagle duszę człowieka i przepełnia ją dziwnem uczuciem sielskiej prostoty i rozmodlenia. Z chóru dolatuje cichy śpiew modlitewny, śpiew dzieci wiejskich, wzruszający do głębi i budzący barwną gamę rzadko przeżywanych wrażeń.

W szczelnie wypełnionej nawie panuje nastrój podniosły i solenny. Od czerni konwencjonalnych strojów, tu i owdzie odbija wiejski przyodziewek, a w prezbiterjum, w fotelu, ozdobionym godłem orła białego, widnieje dostojna postać Głowy Państwa.

Msza zbliża się ku końcowi. W skupieniu słuchają wszyscy słów okolicznościowego kazania, a dźwięki hymnu „Boże coś Polskę" wieńczą wreszcie nabożeństwo ku czci św. Huberta.

Pokrzepiona na sercu i duchu, ochoczo rusza z kościołka brać myśliwska, udając się na spalską strzelnicę, gdzie właśnie mają się odbyć zawody wielce miłe i ucieszne.

Słońce wciąż świeci pełną tarczą na bezchmurnym błękicie nieba, krasząc las dookolny i rdzawy kobierzec ziemi uroczym rumieńcem polskiej jesieni. Jest radośnie i pięknie, a nikt z obecnych nie wątpi, że to słońce i pogodę wyjednał im dobry patron myśliwych, by radość ich w dniu tym uroczystym stała się większa i jaśniejsza.

Znowu więc dźwięczą fanfary i Dostojny Gospodarz daje znak rozpoczęcia zawodów. Program jest bardzo urozmaicony, a składają się nań prócz strzelania do celu i rzutków, próby zręczności dla gajowych.

Bez przerwy wybuchają salwy niewymuszonego śmiechu na widok mozolnych trudów wiarusów leśnych, przywykłych raczej do bytowania wśród borsuków i niedźwiedzi, niż do popisywania się zręcznością.

Oto jeden z nich, z zawiązanemi oczyma i cepem w rękach, posuwa się wolno naprzód, węsząc wytrawnym, myśliwskim nosem garnek gliniany, ustawiony w pewnej odległości na ziemi. Zadanie ma niełatwe, trzeba bowiem trafnie określić położenie garnka i stłuc go trzykrotnem uderzeniem cepa. Sypią się więc potężne razy na Bogu ducha winną zie-



Fot. W. Pikiel

*Fragment z konkursu „O kufel piwa". — Na zdjęciu od lewej: PP. Wicedyrektor Biluchowski, major Czuruk, płk. Głogowski, Red. Niwy Leśnej inż. Buczacki, Prezydent Rzplitej, Red. Ech Leśnych Chociłowski, Dyr. Naczelny Loret, Prezes Związku Leśn. Nagabczyński, Dyrektor Mickiewicz i inspektor inż. Drapella.*

mię, a garnek wciąż stoi calusieńki. Dziwi się później niepomiernie taki niefortunny zawodnik, że garnek kpił sobie z niego, leżąc bezpiecznie o kilka dobrych metrów wprawo lub wlewo.

Zawziął się przecież któryś z osiwiałych już powierników kniei białowieskiej, zmierzył bystrem okiem odległość i nuże na garnek! Raz, dwa, trzy... i upragniony łup rozpryskuje się z łoskotem w kawałki.

Ostrożny i nieufny wiarus wciąż jeszcze jednak nie wierzy. Zwolna zsuwa z oczu przepaskę, przygląda się uważnie dziełu rąk swoich, poczem dopiero oświadcza z flegmą i niemałym dla siebie podziwem:

— Wot... i popadł!

Gdzieindziej znów, inni uczestnicy tej oryginalnej olimpjady św. Huberta mocują się z butelką piwa, siedząc na obrotnych, drewnianych wałkach. Usiłują oni odkorkować butelkę, nalać złocistego płynu do kufla i wypić go duszkiem. Ku ogólnej wesołości, mimo jaszczurczych ruchów delikwenta, przypominających zwinność żywego srebra — rzadko się to komu udaje. W innem miejscu odbywa się żółwi wyścig gajowych na bicyklach. Gdzieś na uboczu walczą o palmę pierwszeństwa zespoły orkiestrowe z nadleśnictw Glinna i Smardzewice, wygrywając na trąbkach (z nut!) melodje myśliwskie. A nawet nie brak tu znanej ułańskiej zabawy, polegającej na zręcznem przerzuceniu lancy przez otwór pod kubłem z wodą. Tylko że rączego rumaka zastępuje tu taczka, a zamiast wody sypią się na głowę pechowych olimpijczyków rodzime trociny.

Pan Prezydent jest w żywym kontakcie z widzami i uczestnikami turnieju. W towarzystwie p. Dyrektora Loreta obchodzi obszerny plac zawodów, zbliża się do szczerze rozbawionych gości, tu i owdzie przyjaźnie się uśmiechnie, z tym i owym zamieni kilka życzliwych słów.

Sam będąc znakomitym strzelcem, z wielkiem zaciekawieniem śledzi konkurs strzelania do rzutków, zorganizowany dla myśliwych z pośród wyższego personelu leśnego. Konkurs ten jest ostatnim punktem programu i zaraz po nim następuje doniosły moment wręczenia przez Pana Prezydenta nagród leśnikom, wybitnie zasłużonym na polu hodowli i pielęgnowania zwierzostanu. Wśród zalegającej ciszy, zabiera głos Szef Kancelarji Cywilnej p. Dr. Bronisław Hełczyński, wygłaszając następujące przemówienie:

Najdostojniejszy, Panie Prezydencie!

„Tradycją lat ubiegłych gościsz dziś w Twej leśnej rezydencji — Spale licznych urzędników i funkcjonarjuszów lasów państwowych — dyrektorów, inspektorów, nadleśniczych, leśniczych i gajowych, wszystkich razem reprezentantów największej w Państwie korporacji łowieckiej. W ich gronie zwykłeś spędzać doroczne święto łowieckie — święto św. Huberta, a sposób, w jaki je spędzasz, doskonale uwydatnia i uwypukla istotne tego święta znaczenie. Święto to — to nietylko dzień, przeznaczony na rozrywkę i zabawę, ale to przedewszystkiem dzień odpoczynku po pracy. Istotnym i głębokim jego sensem jest właśnie ta praca, która je poprzedza, praca łowcy i leśnika zarazem. Oba te rodzaje pracy uzupełniają się wzajemnie. Dobrze utrzymany las, to pierwszy warunek obfitości zwierzyny, zapewnia on jej schronienie i pożywienie, bezpieczeństwo i poczucie swobody. Dbałość leśnika o stan lasu wychodzi na pożytek zwierzynie, a zarazem dbałość łowcy o zwierzynę zmusza go do dbania o stan lasu. Najgroźniejszy wróg lasu — szkodnik i defraudant leśny jest zazwyczaj zarazem kłusownikiem, największym wrogiem zwierzyny. Wasza walka z tymi szkodnikami i wasza całoroczna praca, jako leśników i hodowców zwierzyny odbija się w dzisiejszem święcie, które jest jakgdyby przeglądem i sprawozdaniem z tej pracy. Wymownym tego dowodem te nagrody, które Pan Prezydent Rzeczypospolitej do ręczy za chwilę tym z pośród was, panowie, którzy w swoich rewirach okazali największej dbałości o stan zwierzyny, a których praca z pewnością wyszła na pożytek i powierzonym ich opiece okręgom leśnym.

Zarazem przyświeca temu świętu i inna, głębsza myśl. Rozrzuceni po rozległych polskich lasach od stoków Karpat aż po puszczę Augustowską i Wileńską, od rozległych borów, stojących na straży naszych granic wschodnich, aż po lasy pomorskie i poznańskie, leśnicy lasów państwowych mało mają sposobności, by się ze sobą spotykać i poznawać. Goszcząc ich w Spale, Panie Prezydencie, w dniu św. Huberta, dajesz im jedyną w swoim rodzaju sposobność do tego, by w sposób żywy i dla siebie widoczny, poczuli się jedną wspólną gromadą, zespoloną wspólnem umiłowaniem lasów i łowów i wspólnym zapałem do tej, tak pięknej pracy, jaka jest ich zadaniem, pracy nad utrzymaniem i powiększeniem polskich bogactw leśnych naszych lasów i zwierzostanu.

Biorąc zarazem w tem święcie udział osobiście nietylko jako Głowa Państwa, ale i jako myśliwy, dajesz Panie Prezydencie, wyraz tego, że poczuwasz się do przynależności do tej wielkiej łowieckiej korporacji.

Jestem przekonany, że to szczególne uczucie, którem was, Panowie, Pan Prezydent Rzeczypospolitej obdarza, znajduje w waszych sercach żywy i gorący oddźwięk i z zapałem wzniesiecie okrzyk: Pan Prezydent Rzeczypospolitej i razarem Pierwszy Myśliwy, niech żyje!"

Wyróżnieni leśnicy zbliżają się kolejno do estrady i z nieukrywanem wzruszeniem przyjmują z rąk Pierwszego Myśliwego dedykowane każdemu z nich pamiątki.

Niebawem spotykają się wszyscy w pałacu Pana Prezydenta, który podejmuje tu swoich gości śniadaniem.

W miłej i niewymuszonej atmosferze salonu jadalnego, którego ściany zdobią wspaniałe trofea myśliwskie, mija ta



*„Ułańska zabawa"*

tradycyjna biesiada łowiecka, gdzie Św. Hubert ku swej niemałej zapewne satysfakcji, mógł oglądać myśliwych — gajowych przy wspólnym stole z Myśliwym — Prezydentem.

Przy deserze, w imieniu zebranych przemówił Naczelny Dyrektor L. P. p. Adam Loret, wyrażając w takich oto słowach wdzięczne uczucia leśników oraz gotowość administracji leśnej służenia polskim lasom:

Najdostojniejszy Panie Prezydencie!

„Dzień święta łowieckiego — to przypomnienie niezmierzonych obszarów leśnych dawnej Polski, jej wiekowych puszcz i borów, przypomnienie niewyczerpanego bogactwa wszelakiej zwierzyny łownej, wreszcie przypomnienie wielkiej w dziejach naszych roli łowiectwa, w którem lud — miał swe naturalne zajęcie, szlachta — szkołę odwagi i dzielności rycerskiej, monarchowie — swą najprzedniejszą rozrywkę i zabawę królewską.

Dla nas, pracowników lasów państwowych, dzień ten specjalnie jest drogi jeszcze i przez to, że danem jest nam spędzać go w obecności Głowy Państwa.

Trzeci to bowiem już rok raczysz, Najdostojniejszy Panie Prezydencie, być między nami w dniu obchodu święta łowieckiego.

Podobnie przeto, jak w roku ubiegłym poczuwam się do obowiązku zameldować Ci, Najdostojnieszy Panie Prezydencie, że administracja lasów państwowych wiernie stoi na straży tych lasów i oddaje najlepszy swój wysiłek oraz największe staranie dla należytego wypełnienia powierzonych jej zadań.

A zadanie to trudne i ciężkie. Troska o zachowanie w stanie nieuszczuplonym tych przestrzeni leśnych, jakie nam z dawnych bogactw leśnych pozostały, musi iść w parze ze staraniem o możliwie największe podniesienie ich wydajności i najkorzystniejsze ulokowanie jej płodów na rynku tak, aby lasy polskie, w szczególności zaś lasy państwowe, stały się żywym i dodatnim czynnikiem w życiu gospodarczem Polski, aby uczestniczyły we wzroście dochodu narodowego w stopniu, odpowiadającym wartości, jaką reprezentują.

Zmieniły się bowiem warunki gospodarcze Polski i świata, a wraz z niemi uległo zmianie i znaczenie lasu w układzie stosunków gospodarczych. Las nie przestał być darem przyrody i pięknem krajobrazu, ani też miejscem rozrywki łowieckiej, natomiast stał się on jednocześnie warsztatem pracy gospodarczej, wymagającej planowego działania, zarówno dla utrzymania go w całości i w kulturze, jak i dla osiągnięcia zeń trwałej pozycji dochodu narodowego.

Tak pojmując swe zadania, szczęśliwi jesteśmy, że możemy przed Tobą, Najdostojniejszy Panie Prezydencie, zaświadczyć, że dążymy do ich realizacji z całą energją, na jaką nas stać, czerpiąc w swej pracy otuchę z tego zainteresowania i życzliwości, jaką nam okazywać raczysz.

Najdostojniejszy Pan Prezydent Rzeczypospolitej, niech żyje!"

Odpowiadając na to przemówienie, Pan Prezydent dał z siebie Braci leśnej to, czego z pewnością nikt jeszcze w darze od Głowy Państwa na żadnym z przyjęć, czy obchodów nie otrzymał: dużo szczerości i dużo serca. Słowa



*P. Prezydent wręcza pamiątkową dubeltówkę łowczemu spalskiemu p. Kohoutowi*

Jego, nacechowane uczuciem miłości i rzadkiego zrozumienia dla lasu, głęboko utkwiły w duszy i pamięci obecnych.

Winny się one rozejść głośnem echem po całym kraju i dotrzeć do wszystkich warstw społeczeństwa, gdzie tego zrozumienia lasu wciąż jeszcze niestety brak. W słowach tych młoda nasza propaganda leśna zyskała najwyższą sankcję Pierwszego Obywatela Kraju i za to właśnie winniśmy Mu serdeczną wdzięczność. Pan Prezydent powiedział:

„Obchodzimy dziś święto lasu. — To nasuwa mi myśl, że my wszyscy jesteśmy silnie związani z przyrodą, a zwłaszcza z lasem W spadku po praojcach naszych tkwi w każdym z nas umiłowanie lasu. — Atawizm ten jest tak silny, że miłość i przywiązanie do lasu nie da się z nas wykorzenić.

Pamiętam, jak mając lat 9, uganiałem się za małemi ptaszkami, jak potem począłem polować na ptaki łowne. W 14 roku życia padł pierwszy dzik — wielki triumf. Mając już jednak 17 lat, nabrałem przekonania, że zabijanie zwierząt, a zatem i polowanie ma i swoje złe strony. Stało się to wówczas, gdy upolowałem sarnę, a niebawem nadbiegło małe, stając żałośnie nad matką. Dawniej nie istniała bezwzględna ochrona polowania na sarny.



*Pan Prezydent w ożywionej rozmowie z P. Dyrektorem Loretem*

Odtąd przestałem polować. Nie miałem objawienia, więc nie wstąpiłem do klasztoru, jak to uczynił Św. Hubert, patron myśliwych, lecz od lasu odszedłem.

Później przez 40 lat pracowałem zdala od lasu, nie mając z nim żadnej styczności. I dopiero w r. 1926, kiedy już jako Prezydent, wziąłem udział w pierwszem polowaniu reprezentacyjnem, przyszła fala powrotna i atawistyczny instynkt praojców wziął górę. Dawne wątpliwości i niechęć kędyś przepadły, a teraz czuję, że z tym lasem jestem coraz więcej i mocniej związany. Także i to środowisko, w którem wśród lasów przebywam, staje mi się bliskie, a wspólnie przeżywane myśliwskie przygody zbliżają do was wszystkich.

To wszystko, co powiedziałem, powinno przekonać was o moich uczuciach do was i o mojej wdzięczności za to, żeście się tutaj zebrali.

Pozostaje mi więc wznieść teraz toast w ręce p. Naczelnego Dyrektora lasów, jako Szefa leśników państwowych i kierownika naszej gospodarki leśnej, którą z takiem powodzeniem kieruje, dbając przytem o zachowanie piękna lasów, tej podstawy wszelkiego piękna przyrody."

Spontaniczny, trzykrotny okrzyk: Pan Prezydent niech żyje! pokrył pokrzepiające i znamienne słowa tego „leśnego orędzia", zrodzonego wśród piękna lasów spalskich.

Odwiedziwszy zaraz potem gajowych, którzy nie mogąc się pomieścić razem z wszystkimi kolegami, zasiedli do biesiady w innej sali, Pan Prezydent powitał ich równie serdecznie, odzywając się w te słowa:

„Witam Panów tutaj zebranych, wyrażam swoją radość, że ponownie was widzę podczas obchodu święta lasu. Tembardziej jest mi miło, że odkąd przyszła na mnie powrotna fala zbliże-

nia się do lasu — stałem się człowiekiem, który w tym lesie czuje się jak najlepiej."

I tu hucznym okrzykiem: „Niech żyje" wierni strażnicy lasów dziękowali Pierwszemu Myśliwemu za tyle życzliwości i sympatji.

*

O zmroku, weseli i pokrzepieni na duchu opuszczaliśmy gościnną Spałę. Dzielny i uprzejmy komendant rezydencji p. kpt. Ropelewski, którego zasługą było niezwykle sprawne zorganizowanie dnia św. Huberta, do ostatniej chwili nie zaniedbał niczego, aby goście wyjechali, unosząc jak najlepsze wrażenia.

Św. Hubert w drogę z pewnością się nie kwapił. Po tem, co widział w Spale, żalby mu było tak rychło żegnać przemiłe polskie strony, gdzie i zwierza w kniei niemało i brać myśliwska tak kordjalnie obchodzi święto myśliwskie, a Najdostojniejszy Gospodarz bierze w niewolę wszystkie serca, czemu, rzecz prosta, i św. Patron się nie oparł. Gość w dom — Bóg w dom, cześć Ci, św. Hubercie!

*L. Chociłowski*

## NAGRODY P. PREZYDENTA DLA LEŚNIKÓW PAŃSTW.

Następujące osoby z pośród personelu administracji lasów państwowych otrzymały nagrody od Pana Prezydenta podczas obchodu dnia Św. Huberta w dniu 30-go października r. b.

Inspektor lasów państw. Grychowski Franciszek — srebrną papierośnicę.

Nadleśniczowie: Kubok Edward, Piasek Juljan, Konarzewski Stanisław, Woszczyński Stanisław — srebrne papierośnice; nadleśniczowie: Gomółko Józef i Zienkiewicz Aleksander — fotografje P. Prez. R. P.

Leśniczowie: Ołdak Stanisław, Borzędowski Emil, Fetkowski Stanisław, Flanc Mieczysław, Hutny Jan — srebrne papierośnice. Leśniczowie: Osiński Antoni, Kozłowski Jerzy, Alojzy Franciszek — srebrne zegarki i leśniczy Kochout Alojzy — fuzję.

Gajowi: Dwornik Franciszek, Wójcik Józef, Kosior Antoni, Snopek Adam, Zborowski Leon, Zidek Edward, Zmełty Jerzy, Ulezło Platon, Ulezło Dawid — niklowe zegarki.

## UŚMIECH Ś-GO HUBERTA

Mówiła mi moja stara niańka, że gdy ten padół łez i płaczu ujrzałem, z podanych mi przez nią do kołyski dwuch przedmiotów, grzechotki dziecinnej i pustej łuski z naboju, wybrałem tą ostatnią. Kiedy zwrócono niani uwagę na możliwość skonsumowania ze smakiem przezemnie papierowej łuski i ta chciała mi ją odebrać, zaprotestowałem stanowczo krzykiem i kopaniem nóg.

— Ha! Już ta pewnikiem nic innego z tego nie wyrośnie, ino myśliwy. Ojca będzie natura.

Tak zawyrokowała starucha, która o ile wiem, taki sam wyrok wydała przy kołysce mego ojca. Tą chorobę dziedziczną naszej rodziny znała stara dobrze, jako odwieczna piastunka nemrodów. Odwieczna dlatego, że nigdy nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, jak długo mogła być na służbie naszej rodziny. O przodkach moich przebywających od dziesiątek lat w zastępach niebieskich, mówiła tak, jakby się z nimi przed chwilą rozstała.

Po ogłoszeniu tego proroctwa, długo jeszcze, bo do ósmego roku życia, nemrod spał we mnie. Obudziła go przygoda, która do końca życia będzie żywo stała mi w pamięci.

* *
*

Wysokie góry Wschodniego Beskidu pokryte grubo śniegiem. Wąski ślad sań wytarty w śniegu, na krętej górskiej dróżce, po której szybko posuwają się małe sanki zaprzężone w jednego konia. W sankach było nas dwoje. Matka moja kierująca koniem i owinięte w jakieś kożuchy czy futra moje jestestwo.

Pęd sanek, które zdawały się chwilami lecieć w powietrzu, lub wisieć, przyczepione do zbocza stromej skały, razy otrzymywane w twarz grudkami zbitego śniegu z pod kopyt końskich, oszałamiały mnie i upajały.

Zapadał zmrok. Otoczenie zaczęło się zlewać szybko w jakąś szarą niesamowitą barwę. Oblepione śniegiem, zrzadka rozrzucone po zboczach górskich krzewy, przybierały fantastyczne kształty nadprzyrodzonych ludzi i zwierząt ze słyszanych bajek. Zdawało się to wszystko nabierać życia i poruszać. Przyszły mi na myśl opowiadane wieczorami historje o strachach i wilkach. Zrobiło mi się nieswojo i mimowoli rzuciłem okiem na przewieszony na szyi matki sztucer Manlichera, który, przy silniejszych wstrząsach sanek, dawał mi znać o sobie trącaniem w kolano.

Wjechaliśmy w wąwóz o stromych zboczach i zrobiło się prawie ciemno.

W pewnym momencie koń parsknął raz i drugi, szarpnął saniami i zaczął gnać jak szalony.

Uszu mych dobiegało rzucone przez matkę słowo:

— Wilki! —

Teraz wypadki nastąpiły po sobie z błyskawiczną szybkością. Zostałem ujęty ręką za kark i wtłoczony na dno sanek, skąd z przerażeniem obserwowałem matkę.

Stała w saniach, tyłem zwrócona do konia. Lewą ręką, dookoła której miała okręcone lejce, ściągała całą siłą oszalałe ze strachu zwierzę. Prawą starała się utrzymać sztucer przy twarzy.

Spojrzałem za sanie!

Tuż, tuż za niemi zobaczyłem potworne, jak mi się wtedy zdawało, ze świecącemi zielono oczyma, sylwety dwóch wilków.

Przerażenie me przeszło granice. Instynktownie ukryłem się w jakieś koce pod siedzeniem.

Miałem wrażenie, że koń trochę bieg zwalnia. Słyszałem jeszcze, jakby niewyraźnie, huk strzałów i zatraciłem świadomość tego, co się dalej działo.

Obudziłem się dopiero na drugi dzień w swojem łóżku, w ciepłym i jasnym pokoju ojcowskiej leśniczówki. Otworzywszy oczy, spotkałem utkwiony w siebie jakby z niepokojem wzrok ojca. Widząc, że nie śpię, zagadnął:

— No! Dzieńdobry! Zdrów jesteś? Nie boli cię co? —

Szybko przesunęła mi się w myślach panorama wczorajszych przeżyć. Nie będąc pewny, czy to była okropna rzeczywistość, czy przykry sen tylko, szepnąłem coś do siebie na temat wilków. Ojciec jakby w odpowiedzi na to, rzekł:

— Wstań i ubierz się prędko! Zobaczysz coś ciekawego!

Dwa razy nie trzeba mi było tego powtarzać. Brakiem ciekawości nie grzeszyłem nigdy.

W kilka minut potem byłem w podwórzowej szopie, gdzie zobaczyłem zwisające na grubym drągu łbami nadół, dwa olbrzymie cielska wilcze, a stary gajowy, zakasawszy rękawy, zabierał się do zdejmowania skóry.

Jak łatwo się domyśleć, były to trofea matki mojej, zdobyte w tak niesamowitych okolicznościach i nie trzeba dodawać, jak bohaterstwem matki byłem zachwycony.

* *
*

Opisany wypadek dał początek memu zainteresowaniu się bronią. Asystowałem teraz przy każdem rozbieraniu i czyszczeniu broni, a nawet czasem (o, radości!) na moją usilną prośbę, wolno mi było trochę w rękach potrzymać sztucer lub dubeltówkę.

Z czasem zabierał mnie ojciec na niedalekie spacery z bronią, nieraz do czegoś przy mnie strzelił, polował koło domu z puhaczem na ptactwo, a potem — potem przyszła wojna światowa.

Zadudniły spokojne dotąd góry echem strzałów armatnich.

Rozszczekały się po wąwozach karabiny maszynowe.

Przelewały się wojska kilka lat jak fale — to rosyjskie, to austrjackie, to polskie legjony — — — — —

Dla mnie osobiście było to wszystko interesujące, tembardziej, że wszędzie można było znaleźć, jakieś nieznane, pozostawione przez wojska przyrządy, części jakichś maszyn czy broni, i całe masy naboi. Rzecz najważniejsza, że wszystko to dało się zastosować do swoich potrzeb.

Towarzyszy zabaw miałem w tych rzeczach wyspecjalizowanych.

Pusta gilza karabinowa, oprawiona w kawałek drzewa, doskonale naśladowała rewolwer. Do takiej gilzy nasypywało się prochu, zatykało się papierem i przymocowywało się ten „rewolwer" do jakiegoś przedmiotu. (W rękach na szczęście nikt nie miał odwagi tego trzymać). Jeden z odważniejszych pędziwiatrów przykładał zapaloną zapałkę do przepiłowanego otworu z tyłu gilzy i następował strzał, który zwykle rozrywał „rewolwer" w kawałki.

Takie i temu podobne roiły się w tych głowach pomysły. Mojem marzeniem jednak zawsze było posiadanie prawdziwej broni.

Po pewnym czasie, choć wojna toczyła się jeszcze gdzieś daleko, stosunki zdawały się normować. Rodzina moja znalazła się na terenie dawnej Kongresówki znów w leśniczówce, a ja wpakowany do gimnazjum w mieście K. dumny byłem ze swego jednego paska na kołnierzu, niewątpliwego godła pierwszoklasisty.

— Jak przejdziesz do drugiej klasy, będziesz chodził ze mną na dzikie kaczki. Mam tereny. Rozumiesz? — zachęcał mnie ojciec.

Jeszczeby nie rozumieć! Polowanie — dzikie kaczki!

Dłużył się nieraz czas nad książką, aż wreszcie nadeszły upragnione wakacje.

To chodzenie na kaczki przybrało realną formę, ale dla mnie kończyło się zawsze tylko chodzeniem, a w najlepszym razie niesieniem ojcowskiej strzelby do domu po skończonem polowaniu.

Buntowała się moja młoda, myśliwska dusza!

Mózg opracował plan działania.

* *
*

W piękny, skwarny dzień sierpniowy, przekonany, że przez nikogo nie

mogę być kontrolowany, chwyciłem ojcowską strzelbę, kilka naboi i hajda chyłkiem w stronę jeziora.

Do samego jeziora dostęp był trudny z powodu okalających je trzęsawisk i bagien. Doszedłszy zaś do brzegu nie widziałem nic przed sobą przez gęsto rosnące i o wiele wyższe odemnie tataraki. Łodzi nie pozwalał użyć strach przed świadkami.

Należało koniecznie wybrać jakieś stałe miejsce i czekać na przelatujące, lub przepływające ptactwo.

Wdrapałem się na stojącą nad wodą jedyną wierzbę.

Ta gałęzie miała tak ułożone, że nie mogłem w żaden sposób zająć wygodnej pozycji. Zaczepiony jednak w gałęziach, ni siedząc, ni stojąc, postanowiłem wytrwać.

Po godzinie bezskutecznego czekania ze strzelbą u ramienia, całe ciało miałem odrętwiałe. Już miałem zrezygnować z tych łowów, gdyż nagle, w odległości może czterdziestu kroków, na gładkiej tafli wody, zobaczyłem kaczkę.

Poznałem cyrankę. Płynęła spokojnie, nie przeczuwając nic złego.

A na drzewie w tym samym czasie, serce wielkiego łowcy chciało mu biciem pierś rozsadzić — — — — — — —

Oczy krwią zachodzą!

Kaczka płynie bliżej! Jeszcze bliżej!

Myśl wiruje w kółko — trafić! O h! Trafić!

Jeszcze bliżej!

Strzał!!!

Huk stu piorunów i spadam, pchnięty jakąś siłą nawznak do wody.

Wstaję. Wściekłe dzwonienie w uszach!

Niespodziewana kąpiel wraca mi częściowo przytomność.

Jestem pewny pudła.

Naraz błyskawica myśli — strzelba! Gdzie strzelba!

Wpadła do wody. Może złamana!? Może zginie!?

Rzucam niespokojnym wzrokiem dokoła, brnę po mulistem dnie — niema!

Ogarnia mnie rozpacz. Zaczynają dręczyć wyrzuty sumienia! Może ojciec wrócił do domu i spostrzegł brak strzelby, lub może strzał ktoś słyszał i przyjdzie na jego odgłos?

Co robić?

Kręcę się niespokojnie, spoglądam na drzewo i o dziwo! Cel moich poszukiwań wisi spokojnie na gałęzi. Sekunda — jestem na drzewie. Zdejmuję strzelbę i rzucam mimowoli okiem na wodę.

Boże mój! Oczom nie wierzę!

O kilka kroków od nieszczęsnego drzewa srebrzy się w słońcu brzuch ubitej kaczki, mej pierwszej zdobyczy myśliwskiej!

Płakałem i śmiałem się na przemian z radości!

. . . . . . . . .

Czułem na sobie wzrok Świętego Huberta, a spojrzawszy w niebo, zdawało mi się, że widzę Jego życzliwy uśmiech w słońcu — — —

. . . . . . . . .

Kiedy w dziesięć lat potem, położyłem w puszczy kresowej pierwszy raz olbrzymiego odyńca, nie zaznałem już tej emocji, jaką mi dała ongiś mała kaczuszka-cyranka.

Święty Hubert uśmiecha się do myśliwego tak zbliska, tylko raz w życiu!

*Adam Górecki*

# ZŁOTA POLSKA JESIEŃ

I.

Zaiste, nietylko ze względu na złoto słonecznych promieni zasługuje na ową nazwę ten okres końca lata i początek „złej" pory roku.

Dla naszego umiłowanego łowiectwa jest to także okres najrozmaitszych bezcennych wrażeń i przeżyć myśliwskich.

Począwszy od wybranych szczęśliwców losu, którym św. Hubert darowuje możliwość odstrzału przedhistorycznego łosia - brodacza — tam, wśród bezkresnych „łożniaków" ordynacji Dawidgródzkiej, tego lub innego Nadleśnictwa Państwowego, zdobycia wieńców jelenich — ba! — niedźwiadka ustrzelonego w malinniakach karpackich — ileż to radości prawdziwie venatorskich niesie owa pora babiego lata — nawet, dla zwykłych, przeciętnych myśliwców!... Jaka rozmaitość zwierza i ptactwa wszelkiego!...

Bo późniejsze okresy roku myśliwego — zazwyczaj ograniczają się, do pewnych tylko ilości odmian i gatunków łowieckich objektów.

Zimowe nagonki, kotły i pędzenia zajęcze, podjazd cietrzewi w śniegach styczniowych, później, czarowne toki wiosenne — pomimo wszystkich swych magicznych uroków — bywają zawsze jednakie, nieco jednostronne.

Natomiast w cieple ostatnich „ładnych" dni zamierającego lata, czy to w pierwszych podmuchach jesieni, w powodzi blado - złocistych promieni słońca, lub rozpoczynających się szarugach listopadowych — ma się zawsze do czynienia prawie ze wszystkiemi przelotami miejscowych okazów naszego ptactwa — z bajeczną różnorodnością sposobów zdobycia pięknych, rzadkich nieraz trofeów! Zarówno czworonożnych jak i latających.

II.

Na mszarnikach i błotach Polesia naszego można jeszcze „delektować się" niejednem strzałem do prawie już całkowicie wyfarbowanego „teteruka", jako też starego „leniaka".

W pogodne, ciche dnie można je doskonale „zejść" jeszcze, z swym wiernym pieskiem legawcem, narówni z białoskrzydłemi pardwami, porywających się z piekielnym furkotem.

Nie mówiąc już o bekasach, opasłych „błotnych arystokratach"—dubeltach — rzadkich już coprawda, ale tembardziej cennych i... tak monstrualnie okazałych!

A tam? — na błotach i fantastycznie obfitych „sadach" — setki kaczek, od celnych strzałów, jak dojrzałe gruszki padają!

Jarząbki, na wabia — i na pędzeniach też... Nie mówiąc o słonkach tajemniczych, podczas ich przelotów z podrywu oraz z pod naganki w czasie pędzeń zajęczych w lasach i zagajnikach.

Niestety, owe radości odpoczynku na łonie Matki - Przyrody — nie zawsze, wszystkich śmiertelników bywają udziałem!...

Trzeba mieć środki i możliwości dla zdobycia ich — wyrwać się na tydzień jeden, drugi, w pierwotną krainę poleskich, błogosławionych ostępów!...

Aczkolwiek i dla nieuprzywilejowanych naszych braci — St. Hubert szczodrze otwiera skarbiec innych swych niewyczerpanych rozkoszy...

III.

Na wodozbiorach, rzekach i nawet na najskromniejszych kałużach kraju całego, jak długi i szeroki można spotkać się z poczciwemi rodzimemi kaczkami— krzyżówką, cyranką, szarką, podgorzałką jedną i drugą. Nieco później—z serją całą przelotnych, nieraz muzealnych, północnych gatunków.

A na rozległych jeziorach i stawach gęsi w wielu odmianach zwykłe zapadać, a nieraz kochankowie Ledy—śnieżnobiali łabędzie.

Zdarzy się też nieraz rozleniwiony dubelt — a tem prędzej bekasik. Kuliki, sroki — częstokroć dadzą się widzieć!

Następnie potężne gołębie - grzywacze, skromniejsze siwaki—kochliwe turkaweczki również. A tam i dziczek i rogacz na wychodnego...

I dla osiągnięcia tych wszystkich rzetelnych rozkoszy — nie potrzebne są magnackie tereny o pieczołowicie, „klinicznie" niemal hodowanych zwierzostanach.

Wystarczą — najbanalniejsze rewiry, dobry piesek przyjaciel — niezłe zdrowie i... nieco ochoty łowieckiej, miłości dla Natury zapas niespożyty!

Albowiem nasz święty Patron nie zapomina o najskromniejszych Mu oddanych duszach myśliwskich!...

Nie mówiąc już o rogu obfitości — szeregu „niespodzianek"—które jednakże są dla wszystkich Jego adeptów. Z rezerw szczęśliwych posiadaczy nafaszerowanych zwierzyną obszarów — ileż to razy darzy i nas kogutem bażancim z owych hodowlanych łowisk!... Niejednym koziołkiem, szaraczkiem, stadkiem kuropatewek, czarnym zwierzakiem w przylegających kartofliskach.

Nie wiedząc skąd pochodzi owa zwierzyna — nie czyniąc też nic dla specjalnego jej zwabienia — możemy, śmiało z niej korzystać, bez ujmy dla etyki łowieckiej — z okruszyn tych pańskich splendorów!... Jestto, poniekąd dobrodziejstwem racjonalnego hodowania — dla całej sąsiadującej okolicy!...

I to wszystko, zazwyczaj pada podczas złotej Polskiej naszej jesieni!

IV.

Minie jesień złota i w Nirwanę niebytu zaginą wszystkie cudne przeżycia łowieckie, lecz wspomnienia pozostaną zawsze, jako kryształ czyste, jako łza szczęścia ludzkiego drogie...

Bądź więc błogosławioną „złota Polska" jesień nasza — za całą obfitość twych darów St. Huberta — za całą twą rzewną elegję ku pokrzepieniu serc służącą!

Nawet wtedy, kiedy niestety, niemoc fizyczna, czy też warunki materjalne uniemożliwiają nasz kontakt bezpośredni z tobą — nawet wtedy pozostaną perły i klejnoty przeżyć — chwil dawno zagasłych!

Zresztą — niech, żywi nigdy nie tracą nadziei!

*Adam Rzewuski*

# POKRĘCONA GRANICA

Od styku trzech granic: polskiej, pruskiej i litewskiej, wpobliżu miasteczka Wiżujny przez strażnice Sudawskie, Gromadziszki, Puńsk Hołny - Wolmera i dziesiątek innych jechałem końmi, dostarczonemi przez KOP, na północowschód wzdłuż granicy — jak chcą Polacy, „linji demarkacyjnej" — według nomenklatury litewskiej.

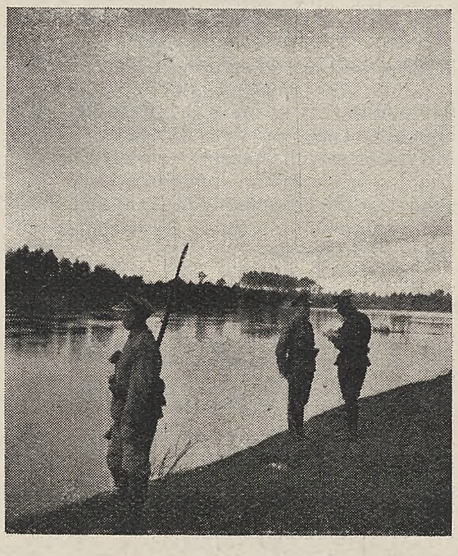
Granica jest tu chyba równie zawikłana, pokręcona jak stosunki narodowościowe. Polskie enklawy znajdują się na terytorjum litewskiem, czysto litewskie wsie rozłożyły się większemi skupiskami po naszej stronie granicy. Linja wiech (wysokich tyk z pęczkiem słomy u góry) przebiega zupełnie dowolnie pola i wzgórza, przecina ziemie należące do jednej wsi, ba, do poszczególnych gospodarzy, opiera się o ściany niektórych strażnic, wyczynia niesłychane łamańce, okrąża lub dzieli jeziora — pilnie strzeżone z jednej strony przez posterunki Korpusu Ochrony Pogranicza, z drugiej przez policjantów litewskich.

W wielu wypadkach droga, którą jechałem, biegła już poza granicą. Pomny na stosunki, panujące na pograniczu bolszewickiem, oglądałem się z pewnem zaniepokojeniem. Powożący strzelec, z pod Przemyślan rodem, uspokajał mnie dobrotliwie, twierdząc, że „badyle" (tak tam żołnierze nazywają Litwinów) nie tacy znów groźni, nie strzelają...

Inaczej też pilnują granicy. Podczas, gdy u nas idzie normalna służba patroli, zasadzek i posterunków obserwacyjnych, Litwini, korzystając z górzystego terenu, rozstawiają rzadkie posterunki na wyniosłych punktach, skąd dobrze jest widoczny każdy, zbliżający się do granicy. Naogół jednak Litwini większą uwagę zwracają na drogi, wiodące od granicy wgłąb kraju.

Dla podkreślenia tymczasowości obecnego stanu rzeczy nie budują oni wzdłuż granicy stałych strażnic. Co najwyżej stawiają maleńkie budki, w których w niepogodę chronią się policjanci. Przeciwieństwem do tych szałasów są nasze solidne, dobrze zagospodarowane strażnice, te małe fortalicje kresowe.

Poza „punktami kontrolnemi" i „przejściowemi", żołnierzy litewskich spotyka się i widuje rzadko kiedy. Aparatu fotograficznego boją się jak ognia, jakgdyby zrobienie zdjęcia z prostodusznego obrońcy ojczyzny wystawiało na szwank co najmniej niepodległość Litwy. Wreszcie na strażnicy „Uciecha" nasz kapral, przedstawiwszy mnie, jako swego znajomka, uwiódł Litwina, który pozował przykładnie przy ozdobnej bramie. Musiałem mu jednak zaprzysiąc święcie, że przyślę odbitki, co też uczyniłem. Tenże odważny wojak pouczył mnie, że gruba, przysadzista dziewczyna, pędząca stado baranów na polską stronę, nazywa się po litewsku „paniale", a nie „mergajka", jak powiedziałem, wyładowując w ten sposób cały swój zasób litewszczyzny.



*Kontrola patrolu nad Niemnem*

Stosunki na granicy są zupełnie poprawne. Mały ruch graniczny nie napotyka na żadne przeszkody. Przepustki, drukowane w dwóch językach i wydawane przez właściwe starostwa, pozwalają na przejście z jednej republiki do drugiej, wypędzanie bydła na pastwisko, roboty rolne.



*Powrót ze służby*

Przemyt w ostatnich czasach ustał prawie zupełnie. Z Litwy przewożono sacharynę i cukier, a tego po zwyżce cen na miejscu już nie opłaci się przemycać. Nawiasem mówiąc, corocznie przemyca się do Polski z Niemiec i Litwy około 80 tysięcy kilo sacharyny, która wypiera z rynku wewnętrznego 40 miljonów kilo cukru, pozbawiając pracy około 50 tysięcy ludzi i przyczyniając skarbowi stratę 15 miljonów złotych. Z Polski wywożono przeważnie manufakturę, co, o ile było korzystne dla nas, napotykało na gwałtowną reakcję po tamtej stronie. Byłem też świadkiem, jak pozujący mi przed chwilą Litwin długo i gorliwie — mimo deszczu — żelaznym szpikulcem przebijał wóz ze zbożem, doszukując się przemytu.

Mniej poprawne są stosunki z naszą litewską „mniejszością narodową". Oczywiście KOP potrafi nakazać dla siebie szacunek i posłuch, ale nie jest w stanie wymóc sympatji, która jest całkowicie po tamtej stronie wiech. Żołnierze nasi nie rozumieją tej niechęci „badyli"





*Z życia żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza* Fot. Autora.

tembardziej, że właśnie KOP jest ostoją ładu na pograniczu. Sam parokrotnie spotkałem się z objawami, które bezwątpienia są owocem pracy pobliskiego Kowna, zasypującego te strony drukami propagandowemi. Pozorna chwiejność granicy sprawia, iż nawet ludność polska nie obstaje twardo przy swem credo: Polak jestem.

Z przykrością stwierdzić można i trzeba, że narodowość polska w zetknięciu z litewską z zasady nie dotrzymuje pola. Przykłady można mnożyć bez końca. We wsi Podwo'ponie Polak-katolik, ożeniwszy się z Litwinką, dzieci wychował na Litwinów, nie umiejących po polsku. W innem miejscu osadnik wojskowy wziąwszy za żonę bogatą dziewczynę, Litwinkę, teraz już sam słabo mówi po polsku.. Sprzedał się za przysłowiową miskę soczewicy, sprzeniewierzając się idei, która osadzić go kazała na tych spornych rubieżach.

Ciekawy byłby wykres, gdyby był możliwy, ilustrujący zmaganie się obu narodowości i obopólną zdobycz. Choć może lepiej nie rozpraszać wygodnych złudzeń...

Ale prężność narodowa, żywotność i zdolność asymilowania innych swoją drogą, a warunki bytu — swoją. Na odcinku granicy między strażnicami „Grzybina" a „Borysówka" ludność tamtejsza, a szczególnie Litwini, jest straszliwie, niewiarogodnie wprost brudna, niechlujna no i leniwa. Swoją biedę i zaniedbanie tłumaczą złą ziemią, ciężkiemi czasami, podatkami. Ale ziemi mają więcej, jak w innych stronach, kryzys i podatki gnębią wszystkich porównu, natomiast zamiłowanie do czystości i poczucie możliwego, nawet w najskromniejszych ramach, piękna jest pierwszą oznaką kultury i różni rażąco Wielkopolanina od Poleszuka lub mieszkańca pojezierza suwalskiego.

Małe, ciemne chaty o śmiesznie małych oknach, gliniane podłogi, plączące się pod nogami żywe stworzenia — nie wyłączając dzieci — i straszliwy zaduch, zmuszają do szybkiego opuszczenia siedzib tych, którzy nie stawszy się jeszcze w pełnem tego słowa znaczeniu ludźmi, już wyciągają chciwą, uzbrojoną w nóż rękę po obszary i grody, będące miejscem panowania innej, bez porównania starszej i bogatszej kultury.

Mimo wszystko czar przyrody i piękno licznych tu jezior zarzuca na duszę wrażliwego podróżnika nierozerwalne sieci i każą wspominać je i tęsknić za ich cichym, pierwotnym urokiem. Przyszłość tych ziem leży przed nami. Ożyją szosy teraz porośnięte trawą. Jeziora zaroją się kajakami białe żagle rozproszą monotonję wody. Słońce przeniknie do brudnych chat i ciasnych mózgów. Nadejdzie nowa Unja.

*

Nocleg wypadł mi w strażnicy „Borysówce" nad wielkiem, kilkanaście kilometrów liczącem jeziorem Gołdazis. Z okna na piętrze widać było światełka w oknach litewskiej wsi, deszcz siekł po dachu, szumiały drzewa i biło gniewną falą o brzegi jezioro.

Zaturkotał przejeżdżający wóz, zaczłapały ciężko obute nogi przechodzącego patrolu, poza tem była ogromna cisza— wewnętrzna raczej. I myśli krążyły—bez przepustek i paszportów — ponad granicą, dzielącą żyjące z sobą wspólnie pół tysiąca lat narody.

Włożyłem słuchawki na uszy. Właśnie Warszawa zapowiadała suitę Meyera Helmunda „Wieczór nad Newą".

Nie było przestrzeni i granic. Jedna rzecz jest wspólna: genjusz ludzki i muzyka, która dociera i jest rozumiana wszędzie.

*Jerzy K. Maciejewski*




## TEATR POLSKI

*„Cyrano de Bergerac" — komedja bohaterska w 5-ciu aktach Edmunda Rostanda.*

Oglądając na scenie bohaterstwo, gromiącego przytem łajdactwo, oglądanie poświęcenia się dla innych i podziwianie bezinteresownej miłości — zwłaszcza w czasach dzisiejszych — jest oddychaniem przez chwilę niezatrutą atmosferą. Może kiedyś pióra utalentowanych dramaturgów pokuszą się o wygrzebanie i z naszej epoki podobnie cnotliwych bohaterów. Gdyby wszakże dziś już próbowali to czynić, spotkaliby się z napaścią, a co najmniej z drwinami. To też pisze się skecze i ośmieszające farsy aktualne. I nie dlatego może, że typy Bergerac'ów i Don Kichotów wyginęły, ale dlatego, że nie wolno takich naiwnisiów dziś gloryfikować. Tak dalece odsunęliśmy się od „szczerej naiwności", tak mocno wiek nasz przesiąknął egoistycznym snobizmem. Współczesny Cyrano de Bergerac — człowiek, który, kochając, wyrzekałby się kobiety na rzecz nieznanego rywala, byleby jej dogodzić, który stawałby w obronie pokrzywdzonych, nie dążył do zrobienia karjery — nie zyskałby sympatji, byłby odosobniony i uznany za szkodnika. Dlatego też musiał autor swego Cyrano de Bergerac'a umieścić na tle epoki mocno od nas oddalonej, obcej i nie dającej się łatwo kontrolować. Bohater, widziany z tej perspektywy, może wywierać silne wrażenie, zwłaszcza w tej obsadzie (M. Maszyński) i na tem tle dekoracyjnem, które dzięki Teatrowi Polskiemu otrzymał. Współczułbym więc z tymi, którzy nie znalezli okazji zobaczenia tej komedji, a nadewszystko ubolewałbym nad losem młodzieży, pozbawionej tak pożądanej, bo podnoszącej ducha uczty.

## TEATR LETNI

*Hula ben Bulla — groteska Arnolda i Bacha w przekładzie K. Wroczyńskiego.*

Życie skwapliwie dostarcza tematów. Niedawno objeżdżał Europę egzotyczny król Afganistanu — Amanullach. Wtedy, gdy witały go naiwnie sfery dyplomatyczne całej Europy „demokratycznej" — w Afganistanie przygotowywano detronizację. Na scenie teatru Letniego dzieje się to samo z królem Chałwistanu P. T. Patałachem. Chociaż nić intrygi jest wątła, a poszczególne sceny beznadziejnie płaskie, to jednak publiczność bawi się wesoło... głupotą groteski. Nieomylny to znak czasu. Że zaś przytem na scenie „benbulla się" trójka rzetelnych komików — Fertner, Kurnakowicz i Walter — wystarcza to nawet widzom, stawiającym większe wymagania sztuce.

## TEATR NARODOWY

*„Car Iwan Groźny" — dramat A. Tołstoja.*

W „Carze Iwanie Groźnym", jak to się często zresztą w sztukach historycznych zdarza, jest więcej kroniki, niż istotnego dramatu, jest więcej — ról, niż konfliktów pomiędzy ludźmi. To też akcja jest tu raczej markowana, raczej przemonologowana. A szkoda, bo z tego odcinka dziejów Rosji szczery dramaturg mógłby stworzyć utwór sceniczny pierwszorzędnej wartości. Sztuka jakby napisana dla ukazania ostatnich chwil życia Cara Iwana, oraz wysuwania się na czoło jego zausznika, Borysa Godunowa — na tle indolencji i niezgody bojarów. To też car Iwan, którego odtworzył wyraziście Junosza Stępowski, urasta do rozmiarów postaci, pozostawiającej po sobie pamięć na długo. Borys Godunow natomiast — inscenizowany przez Węgrzyna zbyt niedyskretnie, a nawet nieco prowincjonalnie, ma charakter zatarty — zarówno w treści, jak i w akcji. Niemniej przeto całość zwarta jednolita, bez przerostów, godna i potraktowana w kolorycie po matejkowsku, nie — po repninowsku, a więc galerja obrazów zasługująca na obejrzenie, zwłaszcza podczas dzisiejszej szarzyzny teatralnej.

## TEATR ATENEUM

*Czarne Ghetto — sztuka w trzech aktach O'Neilla.*

Ponoć sztukę tę, traktującą o niepraktyczności małżeństw czarnobiałych grali w Ameryce murzyni i biali. Hm — pomysł niezły. Chociażby dla zobaczenia takiej obsady, warto pójść do teatru, zwłaszcza w Ameryce, gdzie sztuka musi zawsze nosić na sobie charakter humbugu, aby przyciągnęła publiczność. Nasi aktorzy są tylko podrobieni na czarny kolor (doskonale!), a że i sztuka, pozbawiona niezbędnych wartości scenicznych, jest tylko przeróbką feljetonu o niezdecydowanej tendencji, przeto nie przyprawia widza o paroksyzm miłości dla murzynów. Ze swej strony poradziłbym — murzynom nie pchać się do małżeństw z białymi, autorowi — nie robić w Europie business'u na amerykańsko - murzyńskim konflikcie. Bo... podniecona tą rzewną propagandą Europa może zjechać nagle do Ameryki i popsuć autorowi grunt do nieźle wyzyskiwanego interesu nienawiści rasowej, uchwalając... konieczność powstania nowej amerykańskiej rasy w kratkę. Możliwości są potemu zgoła niepowszednie — rozmiłowanie Europejek dla czarnego naskórka jazzbandzistów. Ja sam nawet, dzięki niepoślednej propagandzie O'Neilla, jestem już poniekąd przekonany, że skoro mogą powstawać psy w łaty, no i cielęta — dlaczegóż nie miałaby powstać łaciata rasa ludzka... — oczywiście w Ameryce.

Mniejsza zresztą o tendencję w treści. Spójrzmy na stronę artystyczną.

Po scenie włóczy się jakiś śpiewak, który przerywa mozolnie skleconą akcję, aktorom psuje nastrój, a publiczności jaki-taki humor. Poco? Jeżeli wszakże, pominąwszy i te usterki, należy widzieć tu propagandę mniejszościową, to czy nie dobrze byłoby zagrać „Czarne Ghetto" w Genewie podczas sesji Rady Ligi Narodów? Albo w Niemczech, lub w Indjach Wschodnich? Chyba że idzie o pokazanie nam murzynów na scenie? Warto zobaczyć! Aż kapią czarną farbą, łyskając groźnie bielę zębów i oczu, niby w teatrze Gougnoll. Pani Kuncewiczowa (rasa biała) i p. Wierciński (rasa czarna) usiłowali tak dalece nadać pozory życia tekturowym figurom autora, że słusznie mogły powstawać obawy, czy nagły efekt tych życiodajnych dążności nie uzgodni zabarwionych kontrastowo antagonizmów rasowych.

### TEATR MORSKIE OKO.

*„Yo-Yo" — rewja w 3-ch obrazch.*

— Gdzie pan spędził wczorajszy wieczór?

— W Morskiem Oku na nowej rewji „Yo-Yo".

— Podobno yoyają się?

— A cóż mają dziś robić? Bawić się w filozofję lub sztukę? Duch czasu. I założę się, że gdyby cały personel wyszedł ze swemi „Yoyami" na ulicę, nikt już nie przeszedłby obok niezarażony tą manją.

— A może to propaganda, lub kokieterja zagranicy, że i my również?...

— Wszystko tam jest propagandą bezmyślności. Naprzykład Mankiewiczówna i Krukowski bez ironji przekonują, że... że wszystkiego dziś można stworzyć operę, nawet z tak naiwnego i nieaktualnego już wierszyka, jak: — Nie rusz, Andziu, tego kwiatka... Dalej — Skonieczny (niekoniecznie potrzebny nagus) nawołuje do powrotu do natury, udowodniając na przykładzie, danym z własnej persony, że dla dzisiejszego widza nic niema łatwiejszego, jak zostać małpą. Przemiły Igo Sym obiecuje całą płeć piękną hurtem przeistoczyć w gwiazdy filmowe, a Żabczyński uczy kochać wiernie.

— Bujanie... kpiny...

— A czemże jest yo-yo? Nie kpinami? Idź pan i zobacz... A przekonasz się pan, że nawet z takiego sceptyka, jakim jest Lopek Krukowski, można zrobić bohatera, wyrywającego damskie rękawiczki z paszczy... takiego lwa, jakim znów jest Boroński.

— Lece, panie... Lecę...

— Bądź pan jednak ostrożny i nie przypisuj podobnych tendencji słowom Dory Kalinówny, tak obrazowo i rzewnie przedstawiającej małomiejskie Rebeki, że gotów pan może byłby w zapale bohaterskiego poświecenia stać się handlarzem żywego towaru.

*M. Jarosławski*

### KINA

*Kino Hollywood* wyświetla obecnie zajmujący film — operetkę: Student-Żebrak. W najbliższym czasie na ekran wejdzie monumentalne arcydzieło filmu dwiękowego p. t. „Transatlantic", którego scenarjusz oparto na tle zatopienia swego czasu okrętu tejże nazwy. Nad program, kino Hollywood daje codziennie rewję o bardzo urozmaiconym programie z udziałem Rentgena, Orskiej, Runowieckiej, Pilarskiej, duetu Patkowskich i rewellersów „Columbia".

Ku wielkiemu zadowoleniu milusińskich, w kinie odbywają się co niedziela przedstawienia dla dzieci, cieszące się wielkiem powodzeniem.

*Kino Casino* wyświetla dawno zapowiadany film polskiej produkcji „Sto metrów miłości", w którym święci triumfy znany aktor z teatru „Banda", sportowiec" z Bożej łaski — Adolf Dymsza. — Film ten zyskał uznanie publiczności warszawskiej, tłumnie oblegającej kasy kina.

*L.*




*Ludwika Ciechanowiecka — W sercu Afryki.* (Algier — Mzab — Tidikelt — Hoggar). Wydawnictwo Księgarni Szylinga w Warszawie.

Autorka, zapuszczająca się w głąb Afryki Północnej, zapowiada skromnie, że książka jej będzie poniekąd reportażem z podróży. Jakoż rozrosła się do rozmiarów znacznie poza ten zakres wychodzących. Jest to jedna z tych prac podróżniczych, która nietylko fotograficznie chwyta życie tubylców na gorącym uczynku, ale i stara się wniknąć w genezę tego życia, wyjaśnia psychologję człowieka zamkniętego na pustyni — zarówno czarnego, czy araba, jak i białych krzewicieli cywilizacji europejskiej.

Z tem wszystkiem wnikliwe obserwacje p. Ciechanowieckiej byłyby jeszcze jednym tylko przyczynkiem do poznania życia nawpół dzikich mieszkańców Północnej Afryki, gdyby nie fakt, że męczącej tej podróży i poważnej choć na wesoło potraktowanej pracy, dokonała kobieta, z natury swych zainteresowań dotykająca na tym terenie nietylko spraw ogólnego folkloru, ale i spraw specjalnie kobiecych. Widzimy więc życie i czyny białych sióstr, wnoszących do smętnej samotni muzułmanek światło cywilizacji. Inna to sprawa — czy potrzebnie, czy drogą tą nie wywołają wreszcie rewolty i nie zburzą patryarchalnego ustroju Mzabu, lub saharyjskiego zagłębia Hoggaru. I pod tym kątem widzenia autorka spogląda chwilami na swe czarne i białe siostry, a zarówno wywiady jej, jak i rozmyślania na ten temat, są jedną z ciekawszych stron uczciwie wykonanej pracy.

Obfitość szczerych, bezpośrednich wrażeń, zilustrowanych bogato zdjęciami fotograficznemi, czyni z książki p. Ciechanowieckiej lekturę nietylko pouczającą, ale również prawdziwie ciekawą, acz pozbawioną wplatanych zwykle w tym wypadku sensacyj egzotycznych.

*Mieczysław Jarosławski*

### ŻWIRKO I WIGURA—ZAŁOGA RWD.

Pamięci obu zmarłych tragicznie lotników poświęcona jest książka por. J. Meissnera, która w najbliższych dniach ukaże się nakładem Gebethnera i Wolffa przy ścisłem współdziałaniu Aeroklubu RP. Por. Meissner jest nie tylko znanym pisarzem i świetnym stylistą, ale i przez długi czas był najbliższym współpracownikiem ś. p. Żwirki.

To też książka jego nie zawiera nic dętego, żadnej bronzowniczej blagi czy sztucznego patosu—jest prawdziwym dokumentem, żywym, rzeczowym i wzruszającym. Widzimy obu bohaterskich lotników w codziennych warunkach ich pracy życia, w trudnej walce o coraz wyższe osiągnięcia.

Książka wyjdzie p. t. „Żwirko i Wigura — Załoga RWD", nakładem Gebethnera i Wolffa. Cały dochód z wydawnictwa pójdzie na „Fundusz im. ś. p. por. Żwirki i inż. Wigury".

## W Y S P I A Ń S K I

*(NA 25-LECIE ZGONU)*

*Kazaliście mi iść ulicami,*
*w szumnym lesie przystanąć nad wioską,*
*i w powietrzu podzielić się z wami,*
*jak z ptakami dzieliłem się — Polską.*
*Przeciem wkrajał się w ziemię zoraną,*
*w ulach sadów sokami dojrzewał,*
*z otwartemi oczami co rano,*
*słuchał kwiatów, kwitnących na drzewach.*
*Byłem pługiem, rękami własnemi*
*kłosy-m pszenne przez palce przewlekał,*
*żem przed śmiercią nie znalazł przy ziemi*
*w zgiętych barkach nad pracą, —*
*człowieka.*
*A gdym w proch już otrząsnął koszulę,*
*jak Jeremiasz się z ciała wyzwolił,*
*na pomnika rozpięty cokóle,*
*stoję w tańcu waszmościm chocholim.*
*Zmówiliście mi władztwo na dworach,*
*i pachnące sosnowe przyciesie,*
*a ja czekam i dzisia i wczora —*
*kto z kamienia mnie żywym podniesie!*
*Kto, jak Fidjasz, wykowa mnie z cienia,*
*kto na ustach udźwignie mnie z trudem,*
*kto odgadnie zaklęcie imienia,*
*ducha mego zjednoczy znów — z ludem.*
*Przyjdźcie czarni górnicy węglarni,*
*w czaszce mojej układźcie się na śnie,*
*niech was mocną słodyczą nakarmi,*
*śpiewnych żeńców piastowy miód*
*przaśny.*
*Chciałbym rozpiąć się w twardych*
*ramionach,*
*w żywych piersiach do krwi waszej*
*mówić*
*głów nie chylcie, wszak już-em raz*
*skonał,*
*nie zdejmujcie pielgrzymich obuwi.*
*Gdy dotknięcie mnie w grobie ustami,*
*nie pomnijcie o skargach i troskach,*
*— pragnę czynu, dowiedzieć się z wami,*
*że jest — Polska!...*
*Wydzwonicie kielniami o mury,*
*że się niebo na domach buduje,*
*w każdem oknie po szybie do góry,*
*murarz słońce nad ziemią holuje...*
*a scałuję wam ręce stwardniałe*
*i policzę odciski na dłoni,*
*— pewno z waszem połączę się ciałem*
*gdy nasyci mnie pot waszych skroni.*
*Iżem poznał ból z cierni i ostów,*
*w długim znoju do życia powracał,*
*niech ugości mnie chleb wasz poprostu,*
*— szczery, a święty, jak — praca.*
*Tylko chwile niech staną tramwaje,*
*bezruch wciśnie się autom we szprychy,*
*gdy przez miasto utartym zwyczajem,*
*pójdę sobie milczący i cichy.*
*W huku maszyn, nad wrzącym*
*warsztatem,*
*w dymie fabryk, rozpłynę się w cieniach,*
*— gdy mnie kiedyś będziecie nieść*
*światem,*
*starczy jedna minuta myślenia.*

*JANUSZ STĘPOWSKI*

# COŚ DLA PAŃ

## KILKA SŁÓW O MODZIE

Kapelusz jest zazwyczaj pierwszym zwiastunem nowego sezonu, wyprzedzającym na długo wszelkie inne szczegóły naszej garderoby, zależne od kaprysów mody. Pierwsze jesienne fasony zjawiły się, jak corocznie już w sierpniu, wtedy, gdy o sukniach i płaszczach jesiennych nie było wogóle mowy, tem więcej że wyjątkowo ciepła i pogodna jesień tegoroczna pozwalała nam długo korzystać z powiewnych, letnich sukienek.

Ano, wszystko ma na świecie swój koniec, więc i nasze barwne toalety musiały wreszcie ustąpić miejsca ciepłym sweterkom i płaszczom. Wrócimy jednak do kwestji kapeluszy, gdyż w tej dziedzinie dają się zauważyć pewne charakterystyczne zmiany.

Proszę wyobrazić sobie taką za przeproszeniem „jarmułkę", która, Bóg raczy wiedzieć jak, dość że się jakoś trzyma na czubku głowy. Jest to okrągłe, małe, na czubku przyozdobione guziczkiem, lub też czupurnie sterczącą kokardką. Może to być zrobione z filcu, z aksamitu, lub z wełny na drutach, czy szydełkiem. Kolory najrozmaitsze: amarantowy, żółty, szafirowy... Czapeczka taka wygląda niekiedy ładnie i młodo, choć nie do każdej urody pasuje. Zatem, kupując „jarmułkę", proszę zachować ostrożność.

Poza tem widzimy jeszcze szereg kapeluszy z rondkami lub bez, turbanów i t. p. wykonanych obowiązkowo z aksamitu, lub z aksamitu połączonego z filcem, przytem każdy z tych dwóch materjałów może być w odmiennym kolorze, byleby ze sobą harmonizowały. Uważam, że jest to nowość bardzo praktyczna i na czasie. Bierzemy np. stary filcowy kapelusz barwy piaskowej, czyścimy go najpierw szczotką z kurzu, potem kawałkiem chleba wreszcie przyozdabiamy kawałkiem bronzowego lub szafirowego welwetu według naszego gustu. Możemy więc pozostawić nietknięte rondko, dorabiając zato aksamitną główkę; i naodwrót: możemy rondko, filcowe zamienić aksamitnem, przymocowując do filcowej główki z boku, u samej góry kokardkę aksamitną, barwy tej samej co rondko. Fasony wykonane całkowicie z aksamitu są równie bardzo noszone, dużo wśród nich widzimy najrozmaitszych kształtów i modeli o barwie srebrzystej, albo też stalowej.

W dziedzinie sukien skromniejszych nie przewiduje się narazie większych zmian. Klosze ustępują potrosze miejsca wszelkiego rodzaju fałdom i plisom, ozdobę stanowią metalowe większe, lub mniejsze guziki.

Krój toalet wieczorowych nie został dotąd jeszcze bezwzględnie zdecydowany, krawcy paryscy próbują coprawda wmówić w nas, że suknie bardzo długie bardzo szerokie i bardzo nafałdowane będą noszone powszechnie, ale... czy faktycznie będą, o tem zdecyduje gust osobisty, no i przedewszystkiem zawartość naszej kasy.

Na ilustracji podaję Paniom model sukienki wykonanej z modnej obecnie ciepłej i stosunkowo niedrogiej „fleurette" barwy granatowej, przybranej oryginalnym i ładnym kołnierzem w kształcie szala. Kołnierz ten może być ze szkockiego jedwabiu, harmonizującego z całością, takie same jest również przybranie rękawów. Dół spódniczki wycięty w zęby, przechodzi na przodzie w zgrabne kontrafałdy





Drugi fasonik jest właściwie suknią bez rękawów, zapinaną na przodzie na guziki. Do sukni tej są wkładane rękawy oddzielne, na staniczku; w tym wypadku są one z tego samego materjału co kołnierzyk, pasek, oraz falbanki około ramion. Możemy więc suknię wykonać np. z bronzowej wełny, przybranie zaś, oraz rękawy zrobić dla odmiany z piaskowego jedwabiu, uzyskując w ten sposób ładny i łatwy do urozmaicania strój wizytowy.



Trzecia sylwetka daje nam wzór sukienki skromnej, eleganckiej i odpowiedniej tak w domu, jak na wizytę, do teatru i t. p. Ciemno-rezedowa gabardina jest urozmaicona fantazyjnym kołnierzem z jedną klapką i rodzajem efektownego krawata. Pasek zamszowy, biały, guziki barwy całości.

No i wreszcie mamy fason kapelusza z filcu, przybranego ciemniejszym aksamitem. Obok — płaszczyk dla dziewczynki z prążkowanego welwetu, przybrany białym królikiem.

*N. Okuszko-Ettenbergerowa*

### DZIWACZNA FRYZURA

Na jednem z ostanich letnich bali w Juan les Pins, ogólną sensację budziła pewna pani o włosach złoto-czarnych. Nie był to bynajmniej jakiś kaprys, czy wybryk natury, lecz poprostu nowy typ utleniania włosów, polegający na tem, że rozjaśnia się nie całość włosów, lecz poszczególne pasma. Czy dziwaczna ta moda, zyska sobie prawo obywatelstwa — trudno jest pszesądzać. Godnym jednak podkreślenia jest fakt, że już następnego dnia wścibski dziennikarz naliczył na popołudniowym dancingu przy plaży... 12 pań, które miały złoto - czarne fryzury!

### NAŚWIETLANIA LAMPĄ KWARCOWĄ... OD WEWNĄTRZ.

Lekarz berliński dr. Westman skonstruował lampę kwarcową o tak małych wymiarach, że można z łatwością wprowadzić ją przez przełyk do jamy brzusznej. Ten drobny napozór wynalazek pozwala na bezpośrednie naświetlanie chorych organów wewnętrznych, co z punktu widzenia medycyny posiada olbrzymie znaczenie.

### UBRANIA ALUMINJOWE.

Angielscy fabrykanci aluminjum w poszukiwaniu nowych rynków zbytu dla tego metalu, zapowiadają rozpoczęcie produkcji... materjałów na ubrania. Materjały te, które wyrabiane będą z cienkich włókien aluminjum splątanych w gęstą siatkę będą podobno bardzo tanie, gdyż cena ich wynosić będzie około 4 zł. za metr.

### *KONKURS FOTOGRAFICZNY*

*Mamusie i Tatusie, prosimy pamiętać o konkursie, ogłoszonym w Nr. 10, na str. 14-ej. Już nie wiele pozostało czasu do wyznaczonego terminu, bo tylko w wyjątkowych wypadkach fotografje będą przyjmowane po dn. 25 listopada. Nagrody: I — aparat fotograficzny, II — książeczka P.K.O. z 50 zł. wkładem.*

### OFIARY

Zamiast koleżeńskiego pożegnania w Nadleśnictwie Kromnów, wpłacił Jan Błocki 25 zł. na rzecz L.O.P.P.

OD ADMINISTRACJI

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA ROK PRZYSZŁY

I OPŁACIĆ NALEŻNOŚĆ ZALEGŁĄ!

# Z PRZYRODY i TECHNIKI.

## ŻYJĄCY DOTYCHCZAS LAS WĘGLA BRUNATNEGO.

W dziełku p. t. „Lebender Braunkohlenwald", wydanem nakładem miesięcznika przyrodniczego „Kosmos", przyrodnik niemiecki, R. H. France, opowiada o podróży swej po półwyspie Florydy, między innemi, co następuje:

Całe wybrzeże wschodnie półwyspu, od St. Augustine do Palm Beach, utworzone jest z wapnia, stanowiącego zwartą masę niezliczonych ułamków muszelek. Wapień taki znany jest również w innych okolicach ziemi, nigdzie jednak nie jest tak drobnoziarnisty i twardy, jak tutaj. Zauważyli to już współcześni Kolumbowi żeglarze hiszpańscy, odkrywszy półwysep Florydy, używali więc tego wapnia, nazwanego przez nich „Coquina", do budowy domów i twierdz swoich. Budowle z tego materjału okazały się tak trwałe, że przetrzymały wieki. Tak np. fort Marion, albo dom najstarszy w St. Augustine, a zarazem w całych Stanach Zjednoczonych, stoją od czterystu lat nienaruszone zębem czasu.

Nietylko wszakże budowle hiszpańskie, ale znacznie od nich starsze, istniejące również na półwyspie Florydy, piramidy zagadkowe, budowane może przez Azteków z tego samego wapnia, zachowały się w stanie doskonałym do czasów dzisiejszych.

Dalej na południe półwyspu wapien ten ulega zmianie tak pod względem nazwy, gdyż nazywa się tutaj „Ojus", jak również składu, pochodzi bowiem z raf koralowych. Wspaniałe budowle miasta Miami, owego ośrodka zbytku i przepychu, które Amerykanie przezwali „Miastem magicznem" (The Magie City), zbudowane są całkowicie z tego wapnia koralowego, tworzącego podłoże całego południowego cypla Florydy, przypominającego budową swoją Wielką Barjerę Rafową, ciągnącą się wzdłuż północnowschodnich wybrzeży Australji.

Południowy ten cypel Florydy, zajmujący obszar większy niż Bawarja, jest razem z łańcuchem wysepek, w które przechodzi, a które Amerykanie nazwali „Keys" (klucze), jedną olbrzymią rafą koralową, tak samo nie do opisania piękną, jak utworzona tego rodzaju na oceanie spokojnym.

Wspomniane zaś wysepki połączono 26 mostami, rozpiętemi nad morzem i torem kolejowym długości 120 kilom., łączącym z lądem stałym położone na ostatniej z tych wysepek, już w strefie podzwrotnikowej, miasto Key West, słynne ze swych fabryk cygar i wspaniałych hoteli. Słynne jest również jako ośrodek przemytnictwa do Stanów Zjednoczonych tytoniu i ludzi z pobliskiej wyspy Kuby.

Olbrzymia ta rafa koralowa, wyłaniając się stopniowo z morza, zlała się w północnej swej części zupełnie z półwyspem Florydy, na tem zaś podłożu wapnia „Ojus", rozpościerają się dzisiaj moczary „Everglades Swamps", obejmujące 13.000 kilom. kwadrat. i pokryte lasem podzwrotnikowym. Gdzie jednak istnieją rafy koralowe, tam nie brak również piasku i szlamu z wapnia, pokrywających stopniowo warstwą nieprzepuszczającą powierzchnię drzewa, które w tego rodzaju lasach moczarzystych zatonęły w moczarach, czy to przewrócone przez wichry, czy też zbutwiałe ze starości. A tak właśnie geologowie tłumaczą powstawanie warstw węgla brunatnego.

Na olbrzymich więc moczarach Florydy południowej mamy żyjący dotychczas las węgla brunatnego.

## ZMYSŁ CZASU U LUDZI I ZWIERZĄT

Istnieją dwa rodzaje zegarów, których nie trzeba nakręcać. Pierwszym z nich jest... człowiek i niejedno zwierzę, posiadające — jak to poniżej udowodnimy — do tego stopnia rozwinięty zmysł czasu, że mogą nim w zupełności zastąpić normalny zegar; drugim z tych zegarów jest już instrument, jaki ostatnio zbudował mistrz szwajcarski Jean Leon Reutter.

W paryskiej uniwersyteckiej klinice psychjatrycznej dokonywane były ostatnio doświadczenia z medjum, mające na celu ustalenie w jakim stopniu tkwi w człowieku przeciętnym i specjalnie z czasem nie „zżytym" zdolność pomiaru czasu. Osoba, poddająca się doświadczeniom, po wprowadzeniu jej w sen hypnotyczny, dostaje rozkaz tego rodzaju:

— Proszę mi dać znać, kiedy upłyną dwie minuty. Zaczynam.

Lekarz trzyma zegarek w ręku i śledzi bieg strzałki sekundnika. Gdy strzałka ta pada dokładnie po raz trzeci na to samo miejsce, medjum zrywa się i oznajmia, że dwie minuty upłynęły. Jak już zaznaczyliśmy, owem medjum nie był ani maszynista pociągów ekspresowych, ani chronometrzysta meczów bokserskich, ani fizyk, pracujący zawodowo w laboratorjach. Każdy człowiek, wprowadzony w sen hypnotyczny, dałby odpowiedź równie ścisłą, jak owe medjum paryskie. Dzieje się to dlatego, że zmysł czasu, jaki każdy z ludzi jako tako inteligentnych posiada, zaostrza się jak inne zmysły w transie hypnotycznym do tego stopnia, iż medjum „mierzy" czas z dokładnością chronometru. Oczywista, iż przy większych interwalach miewają już miejsce błędy, ale błędy stosunkowo nieznaczne. Przy 30 minutach medjum myliło się najwyżej o dwie minuty, przy godzinie — o trzy minuty.

Zmysł czasu posiadają nietylko ludzie, lecz i zwierzęta. Pies, przyzwyczajony do powrotu swego pana do domu w godzinach pierwszej i siódmej naprzykład — rzadko omyli się więcej niż o kilka minut. Dopiero bezpośrednio przed pierwszą i przed siódmą pies poczynie wyglądać swego pana i oczekiwać go pod drzwiami.

W monachijskim instytucie zoologicznym poczynił niezwykle interesujące doświadczenia nad zmysłem czasu pszczół uczeń profesora Frischa. Pszczoły posłuszne są również rytmowi 24 godzinnemu, jaki rządzi w całej naturze. Pszczoły dostawały pożywienie stale o jednej i tej samej godzinie. Po kilku tygodniach pszczoły „zanotowały" sobie godzinę „obiadu" i zlatywały się często z punktualnością co do minuty po jadło. Przypuszczając, że pszczoły orjentowały się według słońca, młody badacz zamknął je na dwadzieścia cztery godzin w ciemni, do której nie wpadał ani jeden promień słońca; mimo to pszczoły wiedziały dokładnie „która godzina" i meldowały się po pożywienie o tej samej porze, co dawniej i z dawną punktualnością. Aby się wreszcie przekonać, czy pszczoły nie orjentowały się według zmian, jakie zachodzą w zmiennem naelektryzowaniu powietrza wraz ze zmianami pory dnia, wstawiono do ciemni preparat zawierający rad. Preparat wydzielał energję, która pokrywała wahania elektryczności powietrznej — mimo to pszczoły orjentowały się w czasie doskonale. Cała jednak orjentacja oparta była o rytm dwudziestoczterogodzinny. Gdy próbowano zbadać zdolność pszczół do reagowania na interwale czasu niezawarte w rytmie 24 godzinnym — pszczoły zawodziły zupełnie: nie posiadają one instynktu, któryby im mówił, że coś się dzieje co drugi dzień, albo raz na tydzień, albo raz na miesiąc. Do pewnych czynności, związanych z rozmnażaniem nowego roju i t. p., skłania je natura w rytmie rocznym, ale ten rytm jest równie podświadomy, jak rytm dwudziestoczterogodzinny.

Drugim zegarem, o którym mówiliśmy na wstępie — nie wymagającym nakręcania — jest zegar Reuttera, mistrza szwajcarskiego. Nie ma w tym instrumencie ani sprężyny, ani żadnego urządzenia akumulującego energję; zegarek chodzi, przejmując energję od zmian ciśnienia powietrza zewnętrznego — podobnie jak pracuje barometr.

# ZE ŚWIATA

## ZACIĘTA WALKA Z WILKAMI

Dwaj młodzi Anglicy, Mannig i Gray, odbywający obecnie podróż po Laponji, wylądowawszy niedawno w porcie norweskim Bodo, powędrowali przez góry do wioski lapońskiej Kvidzjock, położonej w najbardziej na północ wysuniętej części Szwecji i już znajdowali się niedaleko tej wioski, gdy noc zapadła.

Postanowili więc, jak zwykle, przenocować pod gołem niebem, po spożyciu więc wieczerzy, ułożyli się do spoczynku w swych workach do spania.

Zaledwie jednak upłynęła godzina, gdy obudziło ich wycie wilków, a wychyliwszy głowy z worków, spostrzegli przerażeni, przy świetle dogorywającego ogniska, że są otoczeni przez stado tych drapieżników. Na ten widok, Manning, nie tracąc przytomności, dobył rewolweru i zaczął strzelać do bestji. Dwa wilki padły, a reszta cofnęła się, co pozwoliło podróżnym wydobyć się z worków i stanąć w postawie obronnej.

Po chwili jednak wilki znów natarły na podróżników tak gwałtownie, że wywiązała się walka zacięta, która zakończyła się dopiero wówczas, gdy napadnięci powalili wystrzałami z rewolwerów 15 wilków, a reszta przerzedzonego w ten sposób stada uciekła.

Mocno wycieńczeni i poranieni przez wilki, podróżni dotarli o świcie do wioski lapońskiej, gdzie ich opatrzono.

*l.*



*Nowonabyty obraz Brandta „Odsiecz Wiednia" — w Muzeum Narodowem*

# Z MIESIĄCA

*Przegląd ważniejszych wydarzeń*

## W STOLICY I W KRAJU.

Wystąpienie p. Ministra Zaleskiego i jego oświadczenia prasie po powrocie z Paryża, wywołały wielkie niezadowolenie prasy niemieckiej. Wywody te dały — mimo insynuacji prasy niemieckiej o ciągłem naprężeniu między Francją i Polską — dowód, że solidarny front polsko-francuski w kampanji niemieckiej przeciw traktatowi wersalskiemu, istnieje niewzruszenie nadal.

Paryski „Revue Mondiale" podaje wiadomości, że mistrz Ignacy Paderewski stanie wkrótce na czele kampanji odczytowej przeciwko kłamstwu propagandy niemieckiej, niszczącej wszystkie zdobycze cywilazcji.

Funkcje Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku powierzono P. Helmerowi Rostingowi. P. Rosting odegrał ostatnio dużą rolę przy realizacji protokołów polsko-gdańskich, 13 sierpnia 1932 r. Nowy Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku przybył do Warszawy i złożył wizytę p. ministrowi Zaleskiemu.

Nieusuwalność sędziów Najwyższego Trybunału Administracyjnego została zawieszona w związku z wprowadzeniem nowej ustawy o Najwyższym Trybunale Administracyjnym. W stan spoczynku przeniesiony został pierwszy prezes N. T. A. p. Różycki, z powodu przekroczenia 75 roku życia. Stanowisko to objął tymczasowo prezes Orski.

W gazowni warszawskiej wybuchł strajk. Z powodu natychmiastowego uruchomienia pogotowia wojskowego, które obsadziło gazownię i podjęło normalną pracę. Dostarczanie ludności gazu nie uległo przerwie. Strajk zakończył się.

Lotnik kapitan Karpiński, odbył na aparacie ‚Lublin R. 10", wykonanym w fabryce samolotów Plage - Laśkiewicz w Lubline, egzotyczny raid do Kabulu. Etapy raidu były następujące: Warszawa — Stiroen (Bułgarja) — Konstantynopol (Turcja) — Aleppo (Syrja) — pustynia syryjska — Bagdad (Irak) — Teheran (Persja) — Herał - Kabul (Afganistan. W drodze powrotnej kpt. Karpiński odbył etapy Kabul — Herat — Teheran — Bagdad — Kair — Jerozolima — Konstantynopol — Lublin — Warszawa. Lot miał na celu propagandę polskiego lotnictwa. Aparat, zbudowany w kraju, zaopatrzony był w silnik o mocy 220 KM. „Wright Skoda", wykonany przez Polskie Zakłady Skoda w Warszawie. Kpt. Karpiński i jego towarzysz, wybitny mechanik lotniczy p. Wiktor Rogalski musieli w czasie lotu szczególnie nad pustyniami, pokonać bardzo wiele trudności, z których wyszli zwycięsko.

W Warszawie odbyły się zawody szybkobiegaczy Kusocińskiego i Isoholla (Finlandja). Isohollo, pokonany przez Kusocińskiego w Los Angelos, chciał otrzymać revanche. Bieg zakończył się zwycięstwem Kusocińskiego.

Z okazji wprowadzenia nowego kodeksu karnego ogłoszona została amnestia na pewne przestępstwa, popełnione przed 1 września b. r.

W Warszawie zmarł ś. p. ks. dr. Marceli Ryniewicz, proboszcz na Solcu, który wśród największych trudności i przeciwieństw rozpoczął budowę kościoła Matki Bożej Częstochowskiej, będącego pomnikiem budownictwa na wzór kościoła św. Pawła za Murami w Rzymie. Ks. Ryniewicz pędził żywot nędzarza, oddając każdy grosz na dokonanie swego dzieła. Gdy w czasie wojny nie mógł w kraju zdobyć środków, objechał Amerykę, Belgję, Francję, Holandję, kwestując na kościół. Otaczała go też taka miłość parafjan, że po śmierci nie pozwolili zwłok pochować na cmentarzu, lecz zamurowali je — wbrew postanowieniom prawa kanonicznego — w krypcie kościoła, przez co popadli w konflikt z władzami kościelnemi. i



*Nowy minister Spraw Zagranicznych p. płk. Józef Beck*

## LIGA NARODÓW.

Polska została ponownie wybrana do Rady Ligi Narodów 48 głosami na 52 głosujących. Dwa inne wybierane państwa: Czechosłowcaja i Meksyk otrzymały po 46 głosów. Wynik głosowania wywarł na delegacji niemieckiej duże wrażenie.

Sekretarz generalny Ligi Narodów sir Drummond otrzymał petycję 15 członków parlamentu angielskiego. Domagają się oni, aby Liga Narodów zwróciła się do Trybunału Międzynarodowego z zapytaniem, czy rząd polski wykonał intencję, zawartą na konferencji ambasadorów, dotyczącą nadania autonomji Galicji wschodniej. Sprawa ta nie należy bynajmniej do kompetencji Ligi Narodów, a poczciwi „parlamentarzyści" dali się nabrać przez czynniki antypolskie.

Niemcy rozwiodły przed Ligą Narodów tradycyjne żale w sprawie mniejszości narodowych. Skarżyły się one na zbytnią powolność procedury Ligi Narodów w sprawach mniejszości narodowych. Zła wola Niemiec została jednak zdemaskowana. W świetnej replice minister Zaleski wykazał, że sprawy mniejszości winny być we wszystkich państwach jednakowo traktowane i jest niedopuszczalne, aby w niektórych państwach mniejszości miały usta zakneblowane. Minister Zaleski niedwuznacznie upomniał się o mniejszość polską w Niemczech. Mowa min. Zaleskiego wywołała natychmiastowe echo. Tego samego dnia po południu, przedstawiciel Francji Berenger, wygłosił przemówienie, w którem przeprowadził analogię między postępowaniem Niemiec, a postępowaniem Katarzyny II, która w obronie ortodoksyjnej mniejszości wysłała do Polski 50.000 wojska, i wspólnie z innymi rzekomymi obrońcami mniejszości, doprowadziła do rozbicia Polski, jako państwa.

Liga Narodów przeżywa kryzys nietylko moralny, lecz i finansowy. Ten ostatni wywołany jest zaleganiem państw z opłatami na rzecz Ligi. Do końca 1931 r., zaległości te wynosiły około 19 miljonów marek złotych. Połowa tej sumy przypada na Chiny, które jednak kosztują Ligę Narodów 100 razy więcej, aniżeli wpłacają.

NIEMCY.

Trybunał państwowy w Lipsku wydał orzeczenie w sprawie sporu konstytucyjnego Prus z Rzeszą. Orzeczenie to — groteskowe zaiste — uznaje z jednej strony za zgodny z konstytucją dekret, ustanawiający rząd komisaryczny, z drugiej zaś strony przyznaje dawnemu rządowi pruskiemu władzę reprezentacyjną wobec Rzeszy, sejmu pruskiego i rady państwa. W ten sposób istniałyby obok siebie dwa rządy pruskie, o różnym zakresie kompetencji, które oczywiście nie mogłyby uzgodnić swych stanowisk.

Kanclerz von Papen odbył w Monachium naradę, której celem było wywołanie korzystnego nastroju rządu bawarskiego, wobec zamierzeń zmiany konstytucji wejmarskiej.

Reforma ta ma na celu wzmocnienie władzy prezydenta Rzeszy, utworzenie t. zw. izby wyższej, która byłaby zreformowaną i rozszerzoną radą państwa, uzupełnioną częściowo członkami mianowanymi, częściowo zaś delegowanymi przez Związki Komunalne. Na większe trudności natrafia projekt unifikacji administracji Prus i Rzeszy i zniesienie rządu pruskiego.

Niemcy tak manewrowały w czasie konferencji rozbrojeniowej, że znalazły się w zupełnej izolacji, wobec czego Mac Donald zagroził, że nie będzie czynił dalszych zabiegów w kierunku pozyskania Niemiec z powrotem na konferencję rozbrojeniową. W wystosowanej ostatnio do Anglji nocie, rząd niemiecki nietylko wyraża zasadniczą zgodę na wzięcie udziału w konferncji rozbrojeniowej, lecz zgadza się również, aby w konferencji wzięły udział Polska, Czechosłowacja i Belgja.

Na zebraniu Związku kobiet w Essen, niejaki dr. Wagner z Berlina zainicjował t. zw. akcję fenigową. Każde towarzystwo niemieckie ma się zobowiązać wpłacać rocznie 1 feniga od członka na pomoc finansową ludności kresowej w walce z Polakami. Tą drogą ma być zebrane około 200.000 marek rocznie. Inicjator prosił prasę o zachowanie tego w tajemnicy, aby się nie dowiedzieli Polacy, którzy mogliby odpowiedzieć czemś podobnem i zebrać jeszcze większe środki.

*W Austrji* doszło do krwawych zaburzeń między socjal-demokratami i narodowymi socjalistami. Ogółem rannych ciężko zostało 74 osoby, trzy zaś zabite. Podobno bezpośrednimi sprawcami krwawych starć są komunistyczni prowokatorzy. Rząd austrjacki, mimo zapowiedzi, że nie dopuści do powtórzenia się zaburzeń, nie zamierza zabronić urządzania pochodów, ani noszenia mundurów przez członków poszczególnych bojówek.

Ludność wiedeńska bardzo zubożała. Wskazuje na to poważne zmniejszenie się dochodów takich przedsiębiorstw jak gazownia, elektrownia, tramwaje i browary wiedeńskie.

Hitleryzm w Austrji upada. Po zakończeniu zjazdu hitlerowców wszystkie pisma wiedeńskie dały wyraz radości, że zakończył się zjazd, który tyle niepokoju wprowadził. Ostatnie zajścia zgoła nie przyczyniły się do umocnienia pozycji hitlerowców.

*W Czechosłowacji* zapowiedziane obniżenie płac urzędniczych spowodowało znaczne naprężenie sytuacji wewnętrznopolitycznej. Narodowi demokraci sprzeciwiają się wszelkiej obniżce płac. Trzeba tu podkreślić, że płace urzędnicze w Czechosłowacji są znacznie wyższe od polskich.

WATYKAN I RZYM.

Ojciec Św. wydał nową encyklikę, skierowaną do episkopatu meksykańskiego, piętnującą gwałty przeciw duchowieństwu i wiernym. Papież potępia prześladowania w Meksyku i w Bolszewji, które stanowią dwa niebezpieczeństwa, zagrażające porządkowi społecznemu i wzywa wszystkie narody cywilizowane do położenia kresu temu zalewowi

W Rzymie obchodzono uroczyście święto 10-ciolecia rewolucji faszystowskiej. Mussolini wygłosił przemówienie, w którem podkreślił, że nie może być żadnych kompromisów w przyszłości, ani żadnych ustępstw wobec katastrofalnych przewidywań przyszłości. Należy odrzucić wszelkie nadzieje na cudowne środki, mogące zażegnać kryzys. Jest on albo zjawiskiem perjodycznem, związanem z obecnym systemem, w takim razie po pewnym czasie ustąpi, albo jest to kryzys systemu, a w takim razie znajdowalibyśmy się w momencie przełomowym i przejściowym dwu epok cywilizacji.

Podobno w związku z 10-leciem rewolucji faszystowskiej ma być wprowadzony szereg reform liberalnych. Ma być podobno ogłoszona amnestja polityczna, skasowane specjalne trybunały karne i przywrócona częściowo wolność prasy.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

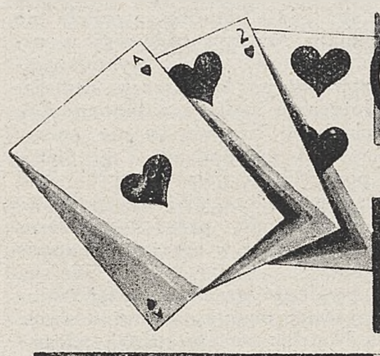
W Anglji wzmaga się bezrobocie. Komuniści zorganizowali pochód głodnych na Londyn. Doszło do poważnych zaburzeń.

Wojna celna między Anglją i Irlandją trwa. Zmniejszenie się angielskiego eksportu do Irlandji w ciągu września b. r. wyniosło pokaźną sumę 600.000 funtów. Rokowania między obydwoma krajami zostały zerwane. Zachodzi możliwość proklamowania republiki irlandzkiej w Dublinie.

*Litwa* nosi się podobno z zamiarem zniesienia stanu wojennego i cenzury prewencyjnej, które trwają od chwili powstania niepodległego państwa litewskiego.

*W Rumunji* płace urzędnicze mają być obniżone w tym roku o 20%.

*Esbe.*



# CZWARTY PARTNER

T. JASTRZĘBOWSKI

*HALINA KLUGE-ZIĘCIAKOWA*

— 4 kiery!

— Pas!

— Pas!

— 4 bez atu!

— In nomine Patris et Filii... ależ, kochaneńciu! — oburzył się proboszcz, aż okulary zsunęły mu się na czubek czerwonego, pokaźnego nosa. — Jak można po 4 kierach grać 4 bez atu! Będziemy leżeć conajmniej bez trzech!

— A ja wszystkojedno 4 bez atu! — upierał się pan Andrzej.

— A ja skonstruję — zapiszczał doktór ochrypłym głosem, uśmiechnął się złośliwie i zatarł ręce z zadowolenia, że położy przeciwnika na obie łopatki.

Karty zeszeleściły na zielonem suknie stolika.

Panu Andrzejowi aż żyły nabrzmiały na skroniach i pot kroplisty osiadł na łysinie. 4 bez atu dogrywa robra! Postanowił wygrać za wszelką cenę. Proboszcz, wznosząc oczy ku niebu, z determinacją rozłożył karty. Nie miał ani jednej lewy.

Twarz pana Andrzeja na ten widok stała się purpurowo-fioletowa. Z pasją rzucał karty na stół.

Coraz więcej lew gromadziło się po stronie przeciwnika.

— Ot, i kontra udała się! — triumfował doktór.

— A udała się! — powtórzył, jak echo rządca Pasternak.

— A nie mówiłem, kochaneńciu, z gałganami się nie odzywać! In nomine Patris et Filii... to szaleństwo, panie Andrzeju, upierać się na 4 bez atu, jak ktoś ma 4 kiery! Ładnie teraz wyglądamy!... Leżymy bez 4-ch i to jeszcze z kontrą, kochaneńciu!...

Siwa głowa proboszcza zaczęła się trząść ze zdenerwowania, aż okulary spadły mu z nosa. Dużą, rozpostartą chustką wycierał załzawione oczy.

— Z kontrą leżymy, kochaneńciu, z kontrą bez 4-ch!

Podniósł groźnie wskazujący palec do góry.

— Fuszer z pana, kochaneńciu!...

Pan Andrzej sapał, jak kowalski miech. Zabolała go ta obelga. Coraz prędzej kręcił młynka na pulchnym brzuszku, co było u niego oznaką wielkiego zdenerwowania.

Dotkór z uśmiechem bazyliszka rozdawał karty.

— Może ksiądz dobrodziej i panowie pozwolą na podwieczorek — dygnęła panna Agata, cienka, wysoka, jak tyka jejmość, dziewica 53 wiosen, która ślubowała dozgonną czystość.

Wyciągając z wdziękiem w stronę proboszcza cienką szyję, ubrana w żółtą suknię w czarne kropki, wyglądała jak żyrafa.

— Mówiłem siostrze, żeby nam w czasie gry nie przeszkadzać! — ofuknął pan Andrzej — podwieczorek nie zając, nie ucieknie, zsiadłe mleko nie wystygnie...

— Ależ, brateńku, — gorszyła się panna Agata — przecież ksiądz dobrodziej mleka nie jadał!... Kawa na podwieczorek podana, kawa ze świeżutką śmietanką i rogaliki prosto z pieca.

— Nie terkocz mi siostra nad głową, bo jestem zły, jak chrzan! Powtarzam: podwieczorek nie zając, nie ucieknie, a robra dograć trzeba.

— Jezus, Marja!... brateńku, kto słyszał tak się gniewać i fukać — gorszyła się panna Agata.

— Tak, tak, kochaneńciu, respekt należy się płci nadobnej! — ujął się za pokrzywdzoną proboszcz.

— Panna Agata, jako przedstawicielka płci nadobnej, rzuciła proboszczowi pełne wdzięczności spojrzenie, dygnęła w stronę grających i, z miną obrażonej królowej, odeszła do jadalni.

Pan Andrzej gorączkowo układał karty, zadowolony, że miał wielką koronę w pikach, 2 asy i aż 3 króle Już w duchu szykował się do odwetu, gdy ktoś go pociągnął zlekka za połę surduta i usłyszał za uchem niewyraźne mamrotanie:

— Pppanie dziedzicu, ppanie dziedzicu!...

Za plecami pana Andrzeja stał Kuba, chłopak stajenny, patrząc na grających z głupowatym uśmiechem.

— Czego chcesz, durniu?... wrzasnął pan Andrzej. — Czyście się wszyscy dziś zmówili, żeby nam przeszkadzać?... Wynoś się, pókiś cały!...

Kuba poskrobał się po głowie, bezradnie przestępując z nogi na nogę.

— Ja ino tak na chwilę, bo je list...

— List?... To nie wiesz, błaźnie, gdzie się listy odnosi?... Czy mam cię za ucho zaprowadzić do biurka i jeszcze raz pokazać, gdzie jest miejsce na listy?

Pan Andrzej wyładowywał gniew na Bogu ducha winnym chłopaku. Kuba przeraził się nie na żarty, cofnął się o kilka kroków, ale, mnąc list w ręku, nie dawał za wygraną.

— Prze... ppana dziedzica, tu stoi napisane „pilny", a jak je pilny, to pan dziedzic pedział, coby zara oddawać do własnych rąk, to i oddaje — wybełkotał Kuba jednym tchem i, jakby mu kamień spadł z serca, uśmiechnął się zadowolony.

—To go dawaj i zmykaj, bo oberwiesz po karku!

Kuba oddał list i, rad ze spełnionej misji, obtarł zamaszyście nos, pocałował proboszcza w rękę, z głupowatą miną skłonił się, i, stąpając ostrożnie po skrzypiącej podłodze werandy, zniknął za furtką ogrodu.

Pan Andrzej odwrócił list, spojrzał na adres, obejrzał pod światło, miał wielką ochotę dowiedzieć się, co jedynak pisze, ale zapowiadająca się dobrze gra była większą przynętą. Rzucając ciekawe spojrzenia na list, schował go do kieszeni surduta i rozgrywał, tym razem pełen triumfu, zapowiedzianego szlemika.

Po dograniu 10-tego z kolei robra, przeszli do jadalni na podwieczorek, gdzie czekała na nich panna Agata, łamiąc ręce nad wystygłą kawą i skrzepniętym kożuszkiem.

Pan Andrzej rozpromieniony i triumfujący, jak wódz po wygranej bitwie, z apetytem zapijał kawę i chrupał świeże rogaliki, gdy nagle przypomniał mu się list, spoczywający w kieszeni surduta, przeprosił na chwilę towarzystwo i udał się do gabinetu, aby dowiedzieć się, co też pisze kochany jedynak.

Długo nie wracał, aż zniecierpliwiony proboszcz, mając już tylko 2 godziny czasu do wieczornego nabożeństwa, podreptał do gabinetu.

Po chwili wyszli z poważnemi minami.

Na twarzy Pana Andrzeja malowała się głęboka troska.

— No i cóż Henryś pisze, brateńku? Jakież tam nowiny? Czy aby nie złe, bo coś, brateńku, masz zafrasowaną i nietęgą minę?

— A złe, siostro, złe!...—odpowiedział pan Andrzej ponuro — Henryś tydzień temu... ożenił się!

— Jezus Marja!... Co temu chłopakowi strzeliło do głowy?... — panna Agata załamała ręce i aż przykucnęła ze zdumienia. — Jeszcze 25-ciu lat nie skończył i ożenił się i to tak nagle, bez pozwolenia, bez błogosławieństwa ojcowskiego...

— A tak, bez błogosławieństwa ojcowskiego — powtórzył pan Andrzej złamanym głosem. Ano takie widać teraz czasy, że rodzice dzieciom niepotrzebni: sami swoim rozumem się rządzą, a błogosławieństwo ojcowskie za nic sobie mają.

Pan Andrzej usiadł ciężko na skórzanym fotelu i szarpał wąsa, na który ukradkiem spłynęła łza. Może wspominał własne szaleństwo młodości, może przeczuwał, że związek jedynaka, zawarty bez jego woli, synowi nie przyniesie szczęścia.

— In nomine Patris et Filii... — szeptał zgorszony ksiądz — i ktoby się spodziewał po takim statecznym młodzieńcu, jak pan Henryk, że tak prędko, bez wiedzy ojca, szast, prast, ni w pięć, ni w dziewięć do ołtarza poleci!

— I z kim on się ożenił?... Może z jaką ladacznicą, bo taka najprędzej mężczyźnie w głowie przewróci!... Grzech i obraza boska!... — zawodziła panna Agata.

— Ależ, kochaneńciu!... — napomniał ją proboszcz — przecie małżeństwo to nie grzech i obraza boska, ale sakrament! Toć lepiej, że się ożenił, niż miałby żyć z panną bez ślubu, na wiarę.

Pan Andrzej siedział chmurny, jak noc i ciężko wzdychał.

Doktór i rządca, miarkując, że z partyjki już nic nie będzie, pożegnali się i wyszli.

— Może jaką zakałę do naszego zacnego i szanowanego rodu wprowadzi!... — biadała panna Agata.

— O zakale tu niema mowy, — odezwał się pan Andrzej — niech siostra czyta. Panna Agata wzięła drżącemi rękami pomięty list, zapisany pięknem, wyraźnem pismem.

Kochany Ojcze!

„Wybacz, że może tem, co napiszę, wyrządzę ci przykrość, ale nie mogłem postąpić inaczej. Byłem zawsze posłuszny Twej woli i korzystałem chętnie z Twoich rad, teraz musiałem posłuchać głosu serca. Zakochałem się bez pamięci i przed tygodniem ożeniłem się.

Wiem, że miałeś inne zamiary, co do mego małżeństwa i mej przyszłości, wiem, że chciałeś dla mnie żony bogatej, że pragnąłeś skoligacić się z rodem Ziemięckich i poczyniłeś układy, nie pytając o zgodę mego serca.

Panna Ziemięcka nie jest kobietą, jakiej pragnąłem na żonę, jaką mógłbym pokochać, i choć starałeś się wraz z ciocią Agatą nakłonić moje serce w jej stronę, pozostała mi obca i obojętna. Sercu widać rozkazać nie można!

Wiem, że bylibyście przeciwni mojemu związkowi z kobietą, którą kocham nad życie, dlatego postanowiłem zawiadomić Was już po fakcie. Kazia (takie jest imię mojej żony), choć biedna sierota, posiada piękne zalety serca i charakteru, co jest dla mnie cenniejsze, niż pieniądze. Kocha mnie równie gorąco, jak ja ją, i wierzę, że będę z nią szczęśliwy.

Nie obawiaj się, Ojcze, moja żona nie przyniesie wstydu naszej rodzinie: pochodzi z dobrej, zacnej familji; jest ładna, skromna, wykształcona (kończy na uniwersytecie wydział medycyny). Zobaczysz, Kochany Ojcze, jak to będzie pięknie, gdy ja będę gospodarował w majątku, a ona będzie nieść pomoc biednym, ciemnym chłopom w okolicznych wsiach. Mam nadzieję, Ojcze, że wybaczysz winę Twemu jedynakowi, który Cię zapewnia o swej gorącej miłości i przywiązaniu.

Odpisz mi, Kochany Ojcze, jak najprędzej, a przyjedziemy, aby otrzymać Twoje Ojcowskie błogosławieństwo na nową drogę życia.

*Twój kochający Henryk.*

Panna Agata złożyła list i, milcząc, sprzątała ze stołu.

Proboszcz, z założonemi do tyłu rękami, chodził po pokoju i myślał, jakiegoby użyć argumentu, aby przekonać przyjaciela, że sprawa nie przedstawia się tak źle, jakby się zdawało. Zatrzymał się nad siedzącym i położył rękę na jego ramieniu.

— In nomine Patris et Filii..., panie Andrzeju, kochaneńciu, niema się czem tak bardzo przejmować, niema powodu do rozpaczy! Toć małżeństwo nie żadna zbrodnia, ale sakrament. Już tam Henryś wiedział, kogo sobie na żonę upatrzyć! A że z miłości się ożenił, to tem lepiej, tem większa pewność, że będzie szczęśliwy.

— Ja tam mu szczęścia nie żałuję, ale żeby choć mnie, com go od śmierci matki od maleńkiego chowała, od tylego szkraba na rękach nosiła, żeby choć mnie się zwierzył, zawsze byłabym mu doradziła, a jak byłoby potrzeba. i ojca przebłagała — zachlipała żałośnie panna Agata.

— Moja pani kochana, — odsapnął proboszcz zniecierpliwiony — niema co narzekać i żałować poniewczasie, kochaneńciu! Stało się!... Klamka zapadła. Nic innego nie pozostaje, jak napisać, żeby jak najprędzej przyjechali i pobłogosławić ich związek. Poco ma chłopak gryźć się i szczęście sobie zatruwać w miodowym miesiącu, kochaneńciu!

— Może ksiądz proboszcz ma rację. Pewno, że on na list ojcowski będzie czekać, jak na zbawienie. Biedny Henryś!... — westchnęła panna Agata.

Wrodzona dobroć zwyciężyła w jej sercu.

— Co związane na ziemi, Bóg tylko jeden w niebie rozwiąże! Co się stało, już się nie odstanie! — z namaszczeniem wyrzekł proboszcz. — In nomine Patris et Filii.... rozruszajże się, panie Andrzeju, kochaneńciu. Kto słyszał tak desperować? Toć to Boga obrażacie! Nie smucić się, ale cieszyć powinieneś, kochaneńciu, że masz uczciwą, stateczną synowę!... Ba!... może wnuki niedługo będziesz piastować! Słyszysz?... wnuki, kochaneńciu, a napewno pierwszy będzie syn!

Pan Andrzej, na wspomnienie wnuków, trochę się rozchmurzył i zlekka uśmiechnął. Jeszcze raz sięgnął ręką po list i przebiegł go oczyma, jakby rozważając każde słowo. Gdy doszedł do ostatniej strony, nagle twarz rozpogodziła mu się, jak niebo po burzy.

— Księże dobrodzieju kochany!... księże dobrodzieju!... — zawołał rozpromieniony — a toż ta Kazia w bridża gra! O, tu, w „post scriptum" drobniutkiemi literkami napisane: „Na pocieszenie muszę Ci, mój Ojcze, napisać, że Kazia gra w bridża, i że wraz z księdzem proboszczem będziemy tworzyć doskonałą partję".

— No, widzisz, widzisz, kochaneńciu!... a tak nam nieraz brakowało czwartego partnera, bo Pasternak fuszer, świnie mu paść, w klipę mu grać, a nie w bridża!... — proboszcz wzruszony wycierał nos olbrzymią chustką i porozumiewawczo zerkał w stronę panny Agaty.

— Widzę, brateńku, że cię Kazia bridżem chwyciła za serce.

— A chwyciła, chwyciła, siostruniu. Jakżeby nie! Toż to wymarzona partja: ksiądz dobrodziej, ja, Henryś i Kazia! Widzicie ją!... W bridża gra! Kochana dziewczyna! Nawet nie marzyło mi się o takiej zacnej synowej.

— Moja, siostruniu, zawołajże mi tu parobka, niech zaraz jedzie na pocztę z depeszą, żeby przyjeżdżali jak najprędzej.

Pan Andrzej był w tak świetnym humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

— A możebyśmy tak, dobrodzieju, zagrali na pocieszenie jeszcze z jedną patryjkę?

— Kuba!... Kuba!... a zawróć - no z drogi pana doktora i Pasternaka! — huknął pan Andrzej przez okno.

— A zagramy, zagramy, kochaneńciu, — ucieszył się proboszcz, — żeby tylko kościelny trochę później na wieczorne nabożeństwo zadzwonił.

KONIEC.

# KĄCIK ROZRYWKOWY

*pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów.*

DALSZY CIĄG IV. KONK. KWART.

Termin nadsyłania rozwiązań *trzytygodniowy*, licząc od daty otrzymania numeru.

6. SZARADA (6 pkt.)

*POLEGŁYM BOHATEROM — CZEŚĆ!*

Pod Berlinem lotniska *pierwsza — druga — czwarta*...
O *dziesięć — jedenastym* tłumy gwarzą ludzi:
Tam, w powietrzu, wszak walka toczy się zażarta —
Co w piersiach niepewności i nadzieje budzi...
Padają *czwarte — piąte* lotników, pilotów,
O *dziewiątej i trzeciej* silników tam mowa...
Pod naporem ciał ludzkich pęka przęsło płotów,
Wszak to nie *ósma — druga* jakaś tam balowa!
Wtem słychać warkot śmigła... ciemny punkt się zbliża,
Rośnie z każdym momentem, aż powietrza wir koŁuje nad lotnikiem... Jak jaskółka chyża
Opuszcza się, ląduje, — to porucznik Żwirko!
I jak na *ósmym—siódmym* placu gdzieś w Warszawie —
Orkiestra gra hymn Polski: odkryte są głowy,
Stoją tłumy w podziwie, a w ściszonej wrzawie —
Słychać dźwięk polskiej pieśni — zapomniany, nowy...
O *wspak pierwszym — wspak dziesięć — siódmym* kto pamięta
Procesie, o Bytomiu i o Gdańska sprawie —
Ten jest dumnym, że tego doczekał się święta,
Gdy Orzeł Polski błysnął w całej swojej sławie!
A choć wielka — *wspak czwarta* i *ósma* jest wroga,
Choć *szóste — jedenaste* boli go i wstydzi,
Jednak przyznać to musi, że do sławy droga —
Otwarta jest dla Polski, choć nas nienawidzi...
Bez *pierwszej — dziewięć — trzeciej*, własnemi siłami
I w *pierwszym — jedenastym* pracując wytrwale —
Sprawiliśmy, że w górze nad wrogów tłumami
Polski sztandar powiewał ku wieczystej chwale!...
Lecz Ten, który na czele w tym trudnym pochodzie,
W locie wśród chmur i burzy, gdzie wiatr pieśń swą wyje —
Zwyciężył, wieńcem sławy okrył się w Narodzie,
Nasz *wspak ósmy* lotnictwa polskiego — nie żyje!...
Uległ w walce z żywiołem, który światem włada,
A z Nim Jego przyjaciel — twórca sztucznych ptaków...
Okryta zaś żałobą Polska — opowiada—
O bohaterskich czynach swych Synów— Polaków!

*Inż. J. Modrzejewski*
*Lublin, czł. Kl. Sz.*

7. KONIKÓWKA (6 pkt.)

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| DEM | PRZY | POM | NY, | NOM, | OHAT! | WIE, | JĄ |
| STY, | CIE | BRU | ŚMIERĆ | CZAS | TRO | CO NA | CYCH |
| WŁASZ | OŁ | LEĆ | RA | CO | NĄ | LA | PRA |
| LOM, | LU | CZY | TA | ZA | SZE | CIE | NA |
| CZAS | CIE | TY | NOŚĆ | Z PŁO | SZE | BEZ | KA |
| DOM | WOL | NOM! | STY | RZE | PO | WZIĄŁ | NIEŚ |
| ŻO | POM | NY: | SKRY | WIE, | ŁA! | O | PO |
| ŚLE | I STA | RA | ŚCIE | BRO | LACH | ROZ | BÓG |

Ruchem konika szachowego należy odczytać wyjątek ze znanego utworu poetyckiego St. Wyspiańskiego. Dla ułatwienia podajemy, że początek znajduje się w jednem z pól drugiego od góry rzędu.

*N. K. Kozłowski. czł. Kl. Sz.*

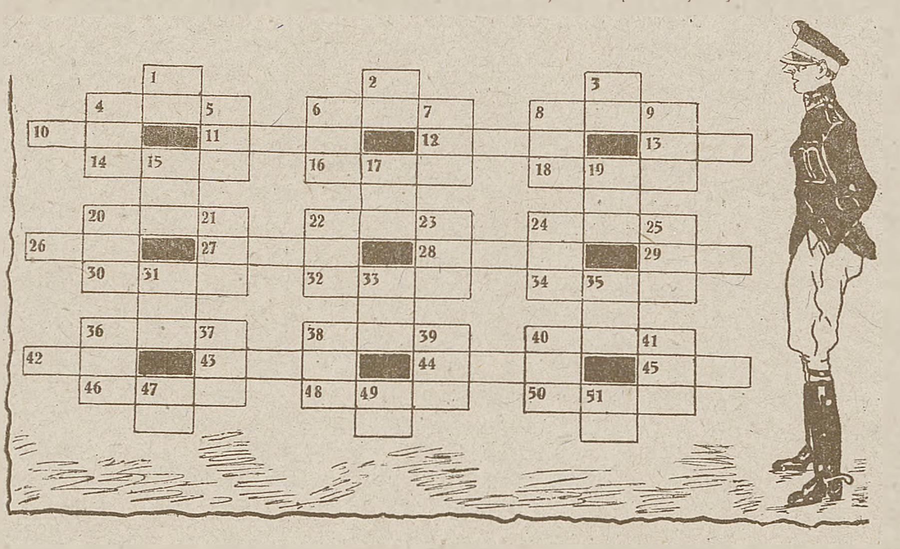
8. KRZYŻOWA SYLABOWA (4 pkt.)

W kratkach niżej podanej figury wpisać sylaby, aby powstały pionowo i poziomo krzyżujące się ze sobą wyrazy o następujących znaczeniach:

*Pionowo:* 1. Żeńskie imię biblijne. — 2. Pieczara. — 3. Torby. — 4. Skrucha. — 5. Stan w Ameryce Płn. — 6. Sł. Łajarz góral zakopiański † 1896. — 7. Tkanina wełn. z włosem fryzowanym. — 8. Ziomkowie. — 9. Obicie ścian. — 15. Król polski. — 17. Roślina z rodz. turzyc. — 19. Pozbawiony części ciała. — 20. Towarzysz. — 21. Drzewo. — 22. Kraj w Ameryce Środ. — 23. Żywica pewnego rodz. jodły. — 24. Mebel pokojowy. — 25. Komplementy. — 31. Zapaleniec (gorliwy stronnik czego). — 33. Odległość 10 stopniowa między tonami. — 35. Wóz ruski do przewożenia towarów. — 36. Rodz. powozu. — 37. Znana piosnka rewjowa. — 38. Kawał drzewa. — 39 Haracz. — 40. Zakończenie. — 41. Praca. — 47. Ogrodzenie z gałęzi naokoło domu. — 49. Napój. — 51. Obroty.

*Poziomo:* 4. Udzielenie wskazówki. — 6. Miasto w Rosji Wsch. — 8. Djabeł. — 10. Włókno pod kora drzewa. — 11. Szałas. — 12. Potok słów w tonie deklamacyjnym. — 13. Kraj w zach. Ameryce Płd. — 14. Grządka kwiatowa. — 16. Przedmiot nauki szkolnej. — 18. Skórka pomar. w cukrze smażona. — 20. Wydrążenie w drzewie do pojenia koni. — 22. Uroczyste wystąpienie okazałe. — 24. Ptak. — 26. Szkodliwe owady. — 27. Łączka leśna. — 28. Jagoda leśna. — 29. Wyroby z nabiału. — 30. Forma utworów dwuwierszowych na Wschodzie. — 32. Gat. wina. — 34. Ozdobne podstawy na wys. nóżce do owoców. — 36. Zasłona. — 38. Artykuł kosmetyczny. — 40. Fryzjer. — 42. Miara papieru. — 43. Lewy dopływ Renu. — 44 Okolica nisko położona. — 45. Bitwy. — 46. Rodz. cienkiej tkaniny. — 49. Wiadomość nowa. — 50. Potomek Lewi i jego pokolenia. —

*K. Kolaczkowa, czł. Kl. Sz.*



*ROZWIĄZANIA ZADAŃ*

*drugiego Konkursu Kwartalnego*, ogłoszonego w n-rach kwietniowym, majowym i czerwcowym b. r. „Ech Leśnych", na który złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania):

1. Szarada *(H. Mokrzycka)* . . 4
2. Kwadrat mag. *(J. Bielenia)* . . 3
3. Arytmograf *(E. Kreyser)* . . 4
4. Krzyżówka *(E. Wieliczko)* . . 5
5. Szarada *(J. Modrzejewski)*. . 3
6. Zad. matem. *(N. K. Kozłowski)* . 4
7. Domyślanka *(E Kreyser)* . . 2
8. Logogryf *(St. Millerowa)* . . 5
9. Rebus *(K. Denasiewicz)* . . . 5

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: *35*.

1. SZARADA: *Zawilce i gładysze.*

2. KWADRAT MAGICZNY: *Alembik, esencja, Bochnia, kramarz.* (P. W. Kawecki z Modzerowa podał ostatnie wyrazy również trafne: *Buczacz, kupczyk).*

3. ARYTMOGRAF: *Handel światowy.* (Herbata, kawa, wełna, djamenty, len, glin, sól, bawełna, cukier, kakao, juta, kartofle, węgiel, tytoń. Wyrazy: płótno, part, przyjęto jako trafne).

4. KRZYŻÓWKA KOŁOWA: *Czas płaci, czas traci.* (Wyrazy *dośrodkowo:* taca, łasza, real, bursa, raps, radło, real, kolce, maik, lanca, szot wsp., bodaj, masa, raštr, tara, komar, koce, kapik; *kołowo:* 1. rura, aromat, tomat, tok, katar; 2. seradela, anoda, as, samopaš; 3. czas płaci, czas traci; 4. atlas, sol, lek, kasja, ara, areka).

*(C. d. w n-rze następnym).*

*SKRZYNKA POCZTOWA.*

*WP. Wiltowska Z., Leśn. Wojciechów.* Pięknie dziękujemy za bardzo miły „dodatek", dołączony do rozwiązań, które wcale nie opóźniły się.

*Sprostowanie.* W liście uczestników I. Konk. zamieszczonej w n-rze październikowym, opuszczono cały wiersz, mianowicie wiersze 16 i 17 winne brzmieć: *„Kowalska J. 40.—Kozłowski Cz. 40.—"* co niniejszem prostujemy. *M. St.*

Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI     Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

# RADJO

## CO TO JEST ŹLE UZIEMIONA ANTENA?

Złe uziemienie, jest to uziemienie wykonane z cienkiego drutu „do jednego milimetra średnicy", lub z drutu żelaznego, albo linki antenowej, wiązanej z kawałków cienkiej, pokrytej silnym osadem związków chemicznych miedzi, lub poszarpanej. Zasadnicza część uziemienia, kawał blachy cynkowej lub mosiężnej, powinien posiadać możliwie dużą powierzchnię, przynajmniej 1 m². Blacha ta powinna być zakopana możliwie jak najgłębiej w gruncie wilgotnym, lub powinna być zwilżona wodą. Przewodnik metalowy, prowadzący od owego kawałka blachy do odbiornika powinien być do blachy w kilku miejscach dobrze przylutowany. Przewodnik ten powinien być przynajmniej tak gruby, jak linka antenowa, użyta na antenę; jest rzeczą bardzo pożądaną, aby przewodnik ten był dwa lub nawet cztery razy grubszy. Dla ułożenia przewodnika, biegnącego od uziemienia do odbiornika, należy wybrać najkrótszą drogę, przyczem przewód nie powinien być zwijany w krążki i spirale, jak również nie powinien posiadać zakrętów pod kątem ostrym lub prostym. W miastach, gdzie uziemienie przeważnie przyłączone jest do rury wodociągowej, która w tym wypadku odgrywa rolę kawałka metalu zakopanego w ziemi, największą uwagę zwrócić należy na miejsce, w którem przewodnik jest do owej rury przyłączony. Miejsce to powinno być zlutowane, albo przynajmniej po oczyszczeniu rury do metalicznego połysku należy przewodnik kilkanaście razy dookoła rury okręcić i następnie zacisnąć przy pomocy szerokiego pierścienia z blachy mosiężnej, zaciskającego śrubą zawarte pod nim zwoje przewodnika.

Pomiędzy uziemieniem a odbiornikiem powinien znajdować się przełącznik antenowy, do którego również doprowadzona jest antena, aby umożliwić uziemianie jej w czasie burzy. Przełącznik ten powinien być utrzymywany w stanie czystym, wszelkie kontakty i śruby, dociskające przełączone doń przełączniki, powinny być silnie dokręcone. Przewodnik wyprowadzony nazewnątrz budynku powinien przez okno wychodzić w rurce gumowej lub porcelanowej i nazewnątrz powinien być z doprowadzeniem anteny zlutowany, bowiem wszelkie inne połączenie stanowi dla prądów i wyładowań wielki opór.

## NOWY TYP MIKROFONU OPEROWEGO.

Z Nowego Jorku donoszą, że tamtejsza Opera Metropolitalna zastosowała poraz pierwszy do transmisji radjowych nowy typ mikrofonu wstążkowego.

Technicy sądzą, że ten typ mikrofonu zapewnia lepszy pod każdym względem wynik retransmisji, mającej podobno dać wszelkie złudzenia rzeczywistości. Jeżeli nawet nowy mikrofon nie dałby całkowitego złudzenia rzeczywistości, to w każdym razie jest już świadectwem nieustających usiłowań techniki radjowej w kierunku ciągłego doskonalenie transmisyj. Nowy mikrofon opery nowojorskiej jest z typu tak zwanych „dwutwarzowych". Ta „dwulicowość" mikrofonu ułatwia o tyle technikę transmisji, że bierze jednocześnie przebieg akcji i głosy artystów, znajdujących się po obu stronach mikrofonu.

# HUMOR

## W OGRODZIE ZOOLOGICZNYM.

Babcia: Widzisz, Stasiu, ten duży bocian jest tym właśnie, który przyniósł ciebie i twoją siostrzyczkę.

Mały Staś, schylając się do ucha siostrzyczki:

— Jak uważasz, czy powiedzieć babci prawdę, czy lepiej pozostawić ją w nieświadomości.

## CIOCIA SAMIEC.

Jaś i Zosia dostali parę królików.

— Mamusia, pyta Jaś, który z nich jest samcem, a który samiczką?

— Poczekaj, aż będą miały dzieci. To, które będzie miało małe, będzie samiczką.

W jakiś czas potem przyjechała do rodziców Jasia i Zosi ciocia — stara panna.

— Ciociu, pyta Jaś, czy Ciocia miała dzieci?

— Jak śmie z zadawać mi podobne pytania! — woła przerażona ciotka. Niezrażony tem Jaś pyta dalej:

— A czy ciocia będzie miała dzieci? Ciocia jest wzburzona do głębi:

— Ani nie miałam, ani nigdy mieć nie będę! Nie waż mi się nigdy nawet myśleć o czemś podobnem!

Jaś z miną triumfatora biegnie do siostrzyczki i tajemniczo szepce jej do ucha:

— A nie mówiłem! Ciocia—samiec...

## W SZPITALU WARJATÓW.

Pan X. zwiedza zakład dla warjatów. Oprowadzający go doktór pokazuje mu młodzieńca, siedzącego smętnie na ławce i patrzącego bezmyślnie w przestrzeń.

— Ten młody człowiek — objaśnia doktór — dostał melancholji.

Kochał się biedak bez wzajemności!

Wzruszony do głębi pan X. zatrzymuje się przed celą furjata, któremu zakładają właśnie kaftan bezpieczeństwa.

— Czy tutaj powodem też była miłość? — pyta pan X.

— Tak — rzecze doktór—ten pacjent ożenił się z tą niewiastą, która tamtemu dała kosza!

## ZAGADKA ORMIAŃSKA.

— Co to jest: nie je, nie pije, a chodzi i bije?

— Moja żona na diecie.

## NOWOCZESNY BRIDGE.

— Wiesz, wczoraj grałem w bridge'a u państwa Z.

— Dużoś wygrał?

— Niestety, dużo wygrać nie było można, bo widzisz, teraz kryzys. Były tylko dwie nagrody i ja właśnie wziąłem pierwszą, t. j. złoty pięćdziesiąt.

— A jaka była druga nagroda?

— Romans z panią domu.

## POMYLIŁ SIĘ.

Pan X. przychodzi do swego przyjaciela z posępną miną.

— Żona mi umarła! — woła od progu — dziś pogrzeb. Przyszedłem po ciebie.

Na pogrzebie, jakiś mówca stanął nad grobem i zaczął mówić:

— Oto była kobieta wyjątkowa! Oto była najlepsza żona i matka! Oto była jedna z tych, które nigdy nikomu nie zrobiły przykrości.

Była cicha i dobra...

W tej chwili pan X. mówi do przyjaciela:

— Wiesz, pomyliliśmy się! To nie jest wcale pogrzeb mojej żony!

## SALONOWA ROZMOWA

— Panie radco, czy pan służy jeszcze w ministerstwie, czy też jest pan już w stanie spoczynku?

— Jestem w stanie spoczynku, ale ilekroć przebywam w towarzystwie pani, to, że się tak wyrażę, wracam do czynnej służby.

## KRYZYS

Na drzwiach jednego ze sklepów umieszczono karteczkę z takim napisem:

— Z powodu śmierci interesu, właściciel zamknięty.

## W B. CARSKIEJ ROSJI.

— Podobno siedziałeś w areszcie dwa dni?

— Niestety, tak.

— A dlaczego cię tam wpakowali?

— Bo przyłapali mnie na tem, że dałem łapówkę jednemu urzędnikowi.

— A dlaczego więzili cię tak krótko?

— Bo dałem łapówkę drugiemu urzędnikowi.

## NA CZASIE.

— Jak stoją interesy Iksowieckiego?

— Tak stoją, że prawdopodobnie prędko będzie już siedział.

## PROSTE ROZSTRZYGNIĘCIE.

— Dlaczego masz taką zatroskaną minę?

— Bo właśnie myślę o tem, ile typów kobiet istnieje na świecie?

— No, to ja ci pomogę rozwiązać to zadanie: istnieją tylko dwa typy kobiet..

— Jakie?

— Ładne i takie, które... stoją w tramwajach.

## Z ŻYCIA

— Jak się czujesz po ożenku?

— Jak w teatrze — jedna scena za drugą...

## TRAFNE OKREŚLENIE.

Co to jest chlew?

Chlew, mojem zdaniem, jest o kawalerskie mieszkanie o świcie, po imieninach.

**Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł. 40 gr.**

**Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".**

**REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 36, TEL. 230-75**

2709 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel. 644-59.